Już za tydzień! Już za tydzień!

MGŁAWICA ANDROMEDY

nowa powieść astronautyczna

Cena 1 zł

odgłosy

nr 6 (50)

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 8 lutego 1959 r.

Pamiętnik Ryszarda Wawro

DRAMAT w TATRACH

Ryszard Wawro (z lewej) i Stanisław Wawrytko na trasie

Od czasu kiedy radio i prasa ogłosiły komunikaty o tragicznej śmierci Ryszarda Wawro, uczestnika wyprawy zimowej główną granią Tatr upłynęło już przeszło pół roku. W kwietniu br. Zakopane, przyjaciele i rodzina będą obchodzili smutną rocznicę. W pobliskiej Słowacji koledzy zmarłego tragicznie narciarza, taternika i ratownika GOPRu wzniosą tablicę pamiątkową na symbolicznym cmentarzu ofiar, które pochłonęły Tatry..

Odwiedziłem ostatnio w Zakopanem rodzinę Ryszarda Wawro, jego znękaną i ciągle jeszcze przeżywającą swoją tragedię matkę. Rozmawiałem z jego serdecznym przyjacielem i współuczestnikiem tatrzańskich wypraw, sportowych sukcesów i niepowodzeń, b. naszym reprezentacyjnym zjazdowcem Stanisławem Wawrytką.

Wyprawy główną granią Tatr podejmowane były już wielokrotnie. Ale do tej pory żadna nie zakończyła się pełnym sukcesem. Celem wyprawy z kwietnia 1958 roku było zdobycie Grani Tatr w całości z Tatrami Bielskimi i Zachodnimi włącznie. Stanisław Wawrytko podkreślił z naciskiem, że wyprawy Granią Tatr są bardbo trudne i niebezpieczne, bardziej nawet uciążliwe niż zdobywanie nietkniętego jeszcze szczytu. Przy zdobywaniu szczytu np. w Himalajach różnica wzniesień waha się między 5—7 tys. Podczas przejścia Granią Tatr różnica ta razem wzięta (szczyty i przełęcze) wynosi do 22 tys. m. Długość Grani Tatr wynosi około 60 km, zwiększa się jednak przez różnicę poziomów. Aby zdobyć Grań Tatr należy zdobyć każdy szczyt, każdą przełęcz osobno. Powróćmy jednak do tragicznego epilogu wyprawy kwietniowej.

Ryszard Wawro urodził się 3. IX. 1929 w Zakopanem. Ukończył Technikum Budowlane. Należał do naszej czołówki skoczków narciarskich, był taternikiem, członkiem Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Często brał udział w wyprawach letnich i zimowych. W lutym 1956 r. wraz ze Stanisławem Wawrytką zajął pierwsze miejsce w międynarodowych zawodach drużyn ratowniczych w Szpindlerowym Młynie, na terenie Czechosłowacji. W zawodach

(Dokończenie na str. 5)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

FRYZJERZY, CUKIERNICY I OPINIA

Nie chciałbym być historykiem - specjalistą w sprawach ducha i twórczości, któremu nieszczęśliwy los powierzy za sto lat opisanie dzisiejszego życia kulturalnego Łodzi. Cóż to w końcu za przyjemność nie mieć nic do powiedzenia lub doprawdy niewiele. Zapewne, zapewne, żmudne badania socjologów atomowych, statystyków uzbrojonych w superczujne mikroskopy elektronowe, czy historyków, wyposażonych w akceleratory, zdolne wyzwolić energię zastygłą przed stu laty, ujawnią może nawet wyraźne ślady działalności ludzi bez nazwisk — „Jerzego" czy „Polikarpa" w „Expressie", albo „Hendryka" i „Polityka" w „Głosie Robotniczym". Ale wyciąganie z ich twórczości wniosków co do życia kulturalnego Łodzi, przypominałoby wciąż jeszcze praktykowane wróżenie z fusów, których nie brak w miejscowej kawie. Głębsze wiercenia w pokładach naszego czasu mogą wykryć nawet i kilka nazwisk, ale twórczość ich właścicieli w zdecydowanej większości wypadków obrazuje raczej osobiste stosunki piszących z twórcami, niźli rzeczywiste problemy życia duchowego miasta.

Wyobrażam sobie nawet komunikat, jaki będzie za sto lat wydany z okazji badań nad Łodzią: „...mimo zastosowania najczulszych aparatów, nie udało się wykryć poważniejszych śladów polityki kulturalnej w tym mieście. Można, niestety tylko domniemywać, że na przełomie lat 1958—59 najważniejszym wydarzeniem kulturalnym było nieprzyznanie pisarzom, krytykom i publicystom nagrody. Z innych fenomenów tamtych czasów warto zanotować fakt, iż miejscowa prasa opisała krytycznie Anglię, Francję, Finlandię, Norwegię, Grecję, Egipt, Bliski Wschód, Brazylię i Australię, ze szczególnym nieuwzględnieniem swojego miasta i województwa, ponadto wszyscy tańczyli w tym czasie „hula-

(Dalszy ciąg na str. 6)

WŁAMYWACZE czyli OPERA ZA... PÓŁ MILIONA

BOGUMIŁ BRECHTA

SPRAWA JEST TAK ZWYKŁA I NIECIEKAWA, ŻE AŻ ŻENUJĄCO ZWYKŁA I NIECIEKAWA. RZEKŁBYM JEST CIEKAWA... DLATEGO, ŻE TAKA ZWYKŁA I NIECIEKAWA.

W ATOMOWEJ EPOCE ŻYJĄ I PROSPERUJĄ W ŚWIECIE WIELKIE GANGI SPRZĘGNIĘTE Z WIELKIM BUSSINESEM I POLITYKAMI, WIELCY PRZEMYTNICY, BANDYCI-FINANSIŚCI, W POLSCE DZIAŁA WCIĄŻ POTĘŻNE PODZIEMIE GOSPODARCZE — WSZYSTKO TO STANOWI NASZĄ CODZIENNĄ STRAWĘ CZYTELNICZĄ. NASZ CHLEB POWSZEDNI DO ZASPOKAJANIA GŁODU SENSACJI.

DOKOŃCZENIE na str. 6

JACEK LEBEN

KTO-KOGO?

Nie zwisają z balkonów setki czerwonych sztandarów. Podium nie jest udekorowane szkarłatnym płótnem i brak na nim wielkich rzeźb przywódców ruchu. XXI Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego obraduje w sali konferencyjnej kremlowskiego pałacu. Zjazd reprezentuje w tej chwili tak potężną siłę materialną, że może się zdobyć na brak monumentalnej dekoracji.

Siła materialna! Kiedy przed 40 laty na stepach Ukrainy, w tajgach Sybiru, na ulicach Piotrogrodu i Moskwy toczono krwawy bój o zwycięstwo rewolucji, wówczas bojowe pytanie bolszewików „kto kogo" rozstrzygało się z bronią w ręku. Komuniści — zgłodniałe masy rewolucyjne Rosji rozstrzygali tę bitwę nie tyle swą lichą bronią, którą przeciwstawiali uzbrojonym po zęby wojskom kontrrewolucji i interwencji, ale przede wszystkim siłą swej idei, wiarą w jej zwycięstwo.

Kto-kogo? Bo jakże bez tej wiary, bosi i zgłodniali, z karabinami na sznurkach rzucić mogli takie pytanie wszechwładnej dotąd potędze kapitalistycznego świata? Kolosowi przebogatych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii uosabiającej mądrość, przewrotność i potęgę całej epoki sprawującej władzę nad 1/3 świata, Francji, Japonii, Niemcom...

Kto kogo? Drwiną przyjmowano to pytanie nawet wówczas, gdy na bezkresnych przestrzeniach Rosji przegrali kontrrewolucjoniści i interwenci i kiedy z pierwszych dźwigniętych z ruin fabryk wyszły pierwsze maszyny i pierwszy sprzęt wojskowy.

Przed 40 laty Włodzimierz Lenin rzucił w imieniu partii bolszewików hasło „doścignąć i prześcignąć kapitalizm". I znów grymas drwiny pokrył oblicza możnych tego świata w Nowym Jorku, Londynie i Paryżu. Ale z każdym nowym zjazdem KPZR, wraz z realizacją każdej kolejnej pięciolatki, wraz z tym jak pot i wyrzeczenia 200-milionowego narodu przekuwano w materialną siłę tysięcy fabryk, jak kosztem największych wyrzeczeń w osaczonym kraju stworzono potęgę czerwonej armii, tłumiono drwinę.

Ale możni kapitalistycznego świata nie mogli czy nie chcieli dostrzec, że przyjdzie dzień, gdy drwina będzie zupełnie nie na miejscu, gdy światu walki konkurencyjnej wyrośnie największy, najpotężniejszy konkurent. Nawet po tym, gdy na polach Rosji załamała się potęga Hitlera, nawet po II wojnie światowej, podczas której żywotność Kraju Rad przekreśliła wszystkie obliczenia możnych ukuto w zacisznych sztabach zachodniego świata zasady polityki „z pozycji siły", koncepcje „odstraszania" komunizmu, koncepcje „zmasowanego odwetu".

Oparto się na przeświadczeniu, że w dobie atomu i wodoru Związek Radziecki musi pozostać w tyle za potęgą Stanów Zjednoczonych, że obstawiony barierami handlowymi, leczący rany zadane wojną nie zdoła nigdy zająć pozycji równego partnera w „zimnej wojnie", i pozostanie stroną „straszoną".

I oto w sali konferencyjnej kremlowskiego pałacu, nie ozdobionej setkami sztandarów i monumentalnych rzeźb, Zjazd Partii Komunistycznej ze spokojem, i jak stwierdzają zachodni komentatorzy, z zadziwiającą pewnością siebie, kreśli plany i terminy kiedy, w którym roku Związek Radziecki osiągnie w podstawowych dziedzinach poziom produkcji przemysłowej Stanów Zjednoczonych, kiedy produkcja świata socjalistycznego przekroczy połowę światowej produkcji. Stanie się to w roku 1965, a więc za 7 lat. I cóż, znów drwina ze strony możnych tego świata? Nie, drwina jest już nieaktualna, tak samo jak tytuł „możni tego świata" jest już nieaktualny dla przywódców mocarstw Zachodu. Zachód nie drwi, nie padło z ust żadnego poważnego polityka ani publicysty zachodniego świata twierdzenie, że Związek Radziecki nie jest w stanie osiągnąć poziomu Stanów Zjednoczonych. Co gorliwsi podejmują spór dotyczący tego, kiedy to nastąpi. Twierdzą, że nie za 7 lat a za 9 czy 10. No cóż, wolno im. Ale przecież jest to przyznanie się do porażki, oznacza przecież, że ich karta jest bita, gdyż nie decyduje rok czy dwa, a prosty fakt: Zachód musi przyznać, że przyjdzie dzień i to dzień nie taki znów daleki, kiedy obóz socjalistyczny stanie się największą potęgą ekonomiczną. A potem? Potem różnica coraz bardziej świadczyć będzie na rzecz socjalizmu, coraz bardziej się będzie pogłębiać na niekorzyść jego wrogów.

Dziś pytanie „kto kogo" rozstrzyga się więc na polu bitwy, nie decyduje tu potęga oręża, chociaż sputniki i sztuczna planeta nienajgorzej przecież świadczą o możliwościach Związku Radzieckiego i w tej dziedzinie, ale rozstrzyga się w pokojowym współzawodnictwie dwóch ekonomicznych systemów.

XXI Zjazd KPZR wzywa do współzawodnictwa tylko na polu ekonomiczno-kulturalnym i twierdzi z niezachwianą wiarą, że zwycięstwo stanie się udziałem socjalizmu.

Kto kogo? Przed 40 laty na szali socjalizmu ważył tylko Związek Radziecki. Dziś ważą również europejskie i azjatyckie kraje budujące socjalizm zamieszkiwane łącznie przez przeszło miliard ludzi. Dziś na szali przeciwnej kapitalizmowi ważą również kraje, które wyrwały się z pęt kolonializmu. Nic więc dziwnego, że Zjazd KPZR musi nie tylko nakreślić plany ekonomiczne, ale również wskazać na to jak zdaniem radzieckiej partii winny się kształtować stosunki między Związkiem Radzieckim a innymi krajami socjalistycznymi, między obozem socjalistycznym a byłymi krajami kolonialnymi i wreszcie między dwoma światami — kapitalistycznym i socjalistycznym.

XXI Zjazd zajął się tymi problemami natury politycznej i ideologicznej. Ale te problemy rozsadzają już ramy niniejszego artykułu.

Kiedy nie odpowiada się za łapówki

W artykule pt. „Sprawa pana T. czyli mój debiut przed sądem" napomknąłem nawiasem, iż „zgodnie z prawodawstwem polskim dający łapówkę unika odpowiedzialności karnej, o ile przyzna się do tego przy pierwszym przesłuchaniu". Koledzy prawnicy wyjaśnili mi, iż jest to uproszczenie sprawy. Odpowiedni artykuł (mianowicie art. 47 Małego Kodeksu Karnego) stanowi iż „NIE PODLEGA KARZE, KTO NA ŻĄDANIE UDZIELIŁ LUB OBIECAŁ UDZIELIĆ URZĘDNIKOWI ALBO INNEJ OSOBIE KORZYŚCI MAJĄTKOWEJ LUB OSOBISTEJ W ZWIĄZKU Z JEGO URZĘDOWANIEM, JEŻELI POWIADOMIŁ O TYM WŁADZĘ POWOŁANĄ DO ŚCIGANIA PRZESTĘPSTW, ZANIM WŁADZA TA DOWIEDZIAŁA SIĘ O TYM LUB NAJPÓŹNIEJ PRZY PIERWSZYM PRZESŁUCHANIU W TOKU POSTĘPOWANIA KARNEGO UJAWNIŁ PRAWDĘ".

Tak więc dla karalności przestępstwa płatnego protekcjonizmu (łapówkarstwa) nie jest obojętne to, od kogo wychodzi inicjatywa przestępstwa. Powinienem był wobec tego napisać, iż zgodnie z prawodawstwem polskim dający łapówkę unika odpowiedzialności karnej, o ile przyzna się do tego przy pierwszym przesłuchaniu, i o ile inicjatywa łapówki wyszła od biorącego ją.

W związku z licznymi zapytaniami Czytelników wyjaśniam, iż proces opisany we wspomnianym artykule odbył się przed Garnizonowym Sądem Wojskowym w Poznaniu na sesji wyjazdowej w Łodzi i że oskarżony w nim był i skazany został (na dwa lata więzienia i degradację do stopnia szeregowca) major Waldemar Tuszowski. Dla ścisłości dodaję, iż obrońca zapowiedział rewizję.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

MARIAN PIECHAL

TRZY PARYŻE

W Paryżu szanują czas. Wszyscy się śpieszą. Przez to dłużej żyją. Bo niby długowieczność Francuzów nie jest większa od naszej, ale w tym samym czasie, co i my, ileż więcej spraw, rzeczy i zdarzeń przeżywają. Czas jak wiadomo z doświadczenia jeszcze przed Einsteinem jest rzeczą względną. Jego długość czy krótkość zależy od sumy naszych przeżyć. Na przykład, kto śpi, ten traci kontakt z czasem, wyłącza się poza rzeczywistość, a więc i poza czas. Otóż Paryż nie śpi ani w dzień, ani w nocy. Ma poczucie wartości czasu.

A to poczucie wartości czasu wyraża się u paryżan przez pracę. Pracę wzmożoną, pośpieszną, ale dokładną i precyzyjną — słowem rzetelną. Dlatego wszystko u Francuzów można podać w wątpliwość, prócz tylko jednego — pracowitości. Tą pracowitością zarażają wszystkich, którzy się znajdują w sferze ich wpływów, w ich kraju. Nawet nas, Polaków, a zwłaszcza Polaków, którzy — jak wszyscy o tym wiedzą — mamy wdrożoną wprost skłonność do lekkomyślnego lenistwa. Otóż w Paryżu i w ogóle we Francji dokonywa się z Polakami cud wprost nie do uwierzenia: stają się pracowici — mało tego: przechodzą w pracowitości samych Francuzów. Ktoś złośliwy mógłby tutaj wtrącić: w pracowitości i w pijaństwie. Ale co do tego pijaństwa, to nie przesadzajmy. Owszem Polacy piją, ale Francuzi piją jeszcze więcej. Chodzi tylko o styl tego picia i upijania się, ale to już inna para kaloszy, o której kiedy indziej.

Praca, jak wiadomo, jest jedynym źródłem bogactwa tak poszczególnego człowieka, jak i narodu, prócz oczywiście rabunku, kradzieży, zbójectwa i wyzysku pracy innych w taki lub owaki sposób. Francja, jak wiadomo, jest bogata, co jest widoczne przede wszystkim w jej stolicy, Paryżu. Jasne, że Francja, jako kraj kapitalistyczny, znaczną część swego bogactwa zawdzięcza w rozmaitych okresach swojej historii imperialistycznemu zbójectwu i kradzieży, jak choćby za czasów Napoleona I i Napoleona III, jak potem i aż do dziś dnia kolonialnemu rabunkowi i wyzyskowi pracy innych podległych jej ludów i plemion. Ale jednak mimo wszystko — trzeba to z naciskiem podkreślić — głównym źródłem bogactwa narodowego Francuzów, ich zasobów kulturalnych i osiągnięć cywilizacyjnych w ciągu wszystkich wieków jest właśnie ich pracowitość, umiłowanie codziennego trudu, po prostu wrodzona niejako miłość pracy.

Tę miłość pracy wraz z nieodzownie związanym z nią poczuciem wartości czasu dostrzega się w Paryżu, który jest jakby ewidentnym koncentratem całej Francji, na każdym kroku. Ta praca i to poczucie wartości czasu wycisnęły swoje piętno na każdym momencie historii tego miasta. Nie ma chwil pustych, nie ma żadnego z okresów w jego historii, który by się nie zaznaczył nie utrwalił w materialnych śladach i wynikach pracy ludzkiej. Paryż, miasto supernowoczesne, jest jednocześnie miastem jak najwidoczniej średniowiecznym i także starożytnym. Są trzy Paryże, a właściwie jeden Paryż w trzech postaciach, a murów, monumentów, planów, śladów i kształtów każdego z nich można dotknąć, doświadczyć, zobaczyć je, przekonać się, że są i były czymś konkretnym i rzeczywistym, a nie tylko wymysłem uczonych fantastów i historyków.

Paryż w swej wymowie dziejowej trójjedyny, w każdej ze swych epok, starożytnej, średniowiecznej i współczesnej, świadczący jednako o umiłowaniu pracy swych mieszkańców. Każde pokolenie zostawiło w dziejach tego niezwykłego miasta swój widoczny trwały ślad, nie niszcząc śladu pokoleń poprzednich, tylko uzupełniając je, przystosowując do nowych potrzeb.

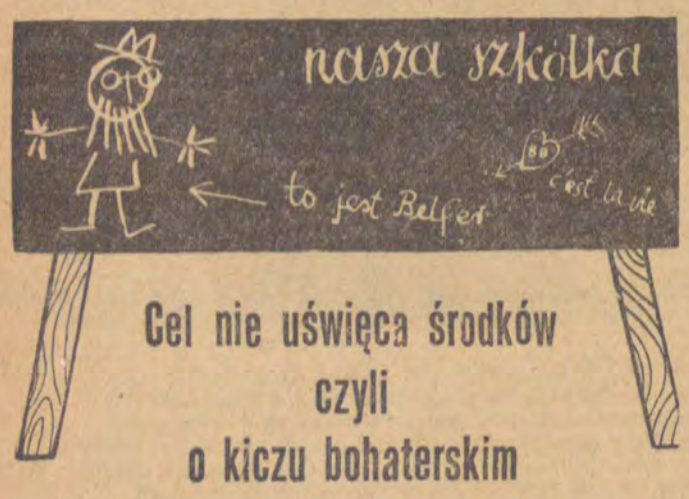

Cel nie uświęca środków czyli o kiczu bohaterskim

Pan kolega Etler prowadził był na stronie ostatniej niniejszym leżącego przed Wami tygodnika rubrykę pt. „Dlaczego chodzę do kina?". Uroczyście wydobywam z siebie jęk tej samej treści. Coraz częściej, jako i Wy, wychodzę z kina kinąc. 80 proc. obiegających ekrany obrazów są to filmy złe lub kiepskie tylko (ktoś powie 70 proc., kto inny 90 proc. — nie zmienia to istoty rzeczy).

Uważam ponadto, że jest to stan rzeczy normalny i pożyteczny. Światowy popyt na kinowe widowisko w ogóle przewyższa produkcję filmów dobrych i niezłych o te właśnie liczby stosunkowe. Nie ma na to rady, popyt trzeba zaspokajać, na niektóre kicze ludzie chodzą licznie i chętnie. Nie ma rady, człowiek ma prawo do kiczu, człowiek płaci, człowiek powinien mieć swój kicz w swoim kinie, no chyba już, że kicz jest wyjątkowy.

Gotów jestem respektować to prawo do kiczu pod jednym warunkiem. Że kicz mówi o sobie, że jest kiczem, że nie udaje czegoś innego, nie rości sobie pretensji artystycznych lub dydaktycznych, nie pragnie sprawować rządu dusz. W przeciwnym wypadku kicz staje się bezpośrednio szkodliwy i niebezpieczny. Ideologicznie szkodliwy proszę towarzyszy, światopoglądowo. Skończyliśmy z prohibicją dzieł Sztuki uznawanych za ideologicznie szkodliwe. Nie znaczy to jednak, by powyższą zasadę warto było rozciągać na kicze, nawet wtedy, kiedy atakują one niepolityczne tkanki odbiorczych mózgów, nie wypowiadają się przeciwko socjalizmowi i nie zawierają apoteozy czegoś przeciwstawnego.

Jednym słowem byłem w kinie „Młoda Gwardia" na filmie „Portier z Lazurowego Wybrzeża".

Zawodowej krytyce film ten się podobał i widzom się podobał. W kwestii tych pierwszych: zgoła nie wiem dlaczego. Porównywano go nawet z „Przed potopem" z racji tematycznej zbieżności, co ma taki sens jak zestawienie „Dwoje z wielkiej rzeki" z „Pierwszym po Bogu" bo i tu pływają po wodzie i tu pływają...

„Portier z Lazurowego Wybrzeża" ma akcję bez sensu. Przez pół filmu jego bohater, grany przez kiepskiego aktora o rozbieganym spojrzeniu, pożycza pewnemu młodemu człowiekowi pieniądze. Owo pożyczanie niczemu nie służy, nic z tego nie wynika, trwa to za długo. Nawet bohater filmu nie wie po co te pieniądze pożycza.

Potem następuje finał. Po-

zytywny bohater a zarazem postać tytułowa odgrywa się na parze młodych ludzi, którzy kiedyś podłożyli mu świnię. Robi to w sposób wzniosły, prowokuje morderstwo, za który to czyn, zgodnie z każdym kodeksem karnym idzie się do więzienia. Naszemu bohaterowi czyn ten zaliczony jest w poczet pozytywnego bohaterstwa, a na przewodzie sądowym jest on świadkiem oskarżenia, a nie współoskarżonym. Nawet mi trudno było się na niego gniewać za takie świątobliwe mordowanie, bo w samo morderstwo „nie bardzo chce się wierzyć". Mężuś ma zabić żonę i gacha złapanych in flagranti. Tak urządził wszystko podstawowy filmu szwarccharakter. Mężuś wbiega, ale nie zastaje żony z gachem, lecz samotnie zamkniętą w pokoju. Zaś kandydata na gacha w drugim pokoju, siedzącego nabożnie w fotelu. Zdawać by się mogło, że mężuś nie wystrzeli, jako że nie ma po temu powodu, jeśli nawet przyjmiemy bzdurne założenie, że uprzednio miał po temu powód. Istotnie mężuś nie strzela, ale za to strzela in spe niewierna żona do faktycznego gacha. Dlaczego? Tego już nikt zgłębić nie zdoła.

Poza treścią film ma również morał, czyli tak zwaną merytoryczną pointę. Brzmi ona: młodzież trzeba wychowywać i nie pobłażać jej. Duże mdłości.

„Portier z Lazurowego Wybrzeża" jest wszakże dziełem z ładunkiem światopoglądowym. Głupim i naiwnym, ale jednak. Ładunkiem płaskim, kłamliwym i szkodliwym. O to właśnie mi chodzi. Ten melodramat z wyższych sfer, pełen aniołów i diabłów w ludzkiej skórze „skrzywdzonych ojców staruszków", demonicznej młodzieży i nieposzlakowanych pedagogów z oleodruku wypowiada takie mniej więcej prawdy: „Zło zawsze zostaje ukarane, dobro triumfuje". Tfu! Aż maszyna do pisania nie chciała tego wystukać. Bohater tytułowy wypowiada do swej uczennicy prorocze zdanie: „Zrobiłaś źle, więc zostaniesz dziwką i do tego będziesz ukarana". Potem następuje cały film i rzeczywiście zostaje ukarana. Taka filozofia dla ubogich moralistyka dla półgłówków, fałsz dla łatwowiernych sprawił, że Belfer uznał ów kicz godnym rangi bohatera felietonu.

Wydaje się, że sprawa egzemplifikowana na „Portierze z Lazurowego Wybrzeża" jest jednym z istotnych przyczynków do dyskusji o polityce kulturalnej.

* * *

Przed filmem idzie zręcznie skleciona krótkometrażówka reklamująca szczepionkę BCG. Reklama dokonywania przeciwgruźliczych szczepień jest sama w sobie rzeczą dobrą, pożyteczną. Film zrobiony został jednak wedle zasady „cel uświęca środki". Środkami tymi zaś jest posługiwanie się makabrą i demagogiczną przesadą. Mam poważne wątpliwości, czy realizator filmowy ma prawo powodować wyświetlanie w kinie, do którego człowiek idzie jakby nie było gwoli rozrywki — skondensowanej makabry w postaci obrazów przedstawiających dzieci — potworki z najohydniej powyginanymi ciałami, jakieś nieludzkie kształty z najgorszych snów.

Czy ma do tego prawo nawet wtedy, kiedy to jest prawda i kiedy poprzez to skuteczniej osiąga zakładany w reklamówce cel: wstrząsając widzami — namawia skuteczniej do szczepień ochronnych. Wydaje mi się, że nawet i tu obowiązuje umiar. Jeszcze poważniejsze opory budzi system przesady, demagogii płynącej w komentarzu: nie szczepisz się — zachorujesz i będziesz tak wyglądał. Szczepisz się — będziesz zdrów. Stwierdzenia te padają w formie absolutnie kategorycznej, tym samym niezupełnie są prawdziwe.

Zasada „cel nie uświęca środków" obowiązuje we wszystkich dziedzinach. Zasada przeciwna jest niemoralna w każdym wypadku.

Widz wychodzi z kina naszpikowany fałszem służącym dobrej sprawie. W wypadku filmu głównego — dobrej w intencjach subiektywnych realizatorów, w wypadku dodatku — dobrej obiektywnie. Wydaje się, że to rozróżnienie nie zmienia istoty rzeczy. Że wspólny mianownik jest tu jak najbardziej usprawiedliwiony.

Poczciwe są nasze zwykłe kicze. Poczciwe i nie jadowite są potoczne szmirki. Ale kłamliwe ideologie dla ubogich wymagają ostrych działań cenzurowych ze strony czynników decydujących o polityce kulturalnej. Pamiętajmy: na te rzeczy ludzie się nabierają. I poglądy, że „zło zostaje ukarane" żyją życiem społecznym, szkodząc równie wiele, jak wszystkie inne szkodliwości, od których pęcznieją łamy naszych gazet.

BELFER

harmonizując z całością architektoniczną i urbanistyczną miasta. Nikt z przyjezdnych, a zwłaszcza ze stałych mieszkańców Paryża, nie zdaje sobie z pewnością sprawy, jak często w jednym nieuchwytnym momencie przekracza niezauważalną granicę między Paryżem nowoczesnym, średniowiecznym i starożytnym, skoro wiele domów dzisiejszych zbudowanych jest z cegieł po rozbiórce średniowiecznych gmachów i kamieni starożytnych budowli.

Ktoś może powiedzieć, że starożytne areny dawnej Lutecji w Paryżu albo pozostałe resztki term rzymskich w opactwie kluniackim przy bulwarze Saint Michel niewiele wpływają na życie dzisiejszych mieszkańców miasta. Tak samo można by powiedzieć, że niewiele wpływa na ich życie średniowieczna katedra Notre-Dame, wieża Saint Jacques, kaplica Sainte Chapelle, podobnie jak nowożytna wieża Eiffla, pałac Chaillot i cały szereg supernowoczesnych gmachów w dzielnicy 16. A jednak zarówno te zabytki starożytne, jak i średniowieczne i monumenty współczesne tworzą jedyny w świecie charakter tego miasta decydują o jego aurze, wpływają w sposób nieodparty i decydujący na ducha jego mieszkańców, na ich odrębność, na oryginalność, powiedziałbym, na wyróżniający to miasto, spośród innych wyjątkowy jego genius loci.

Można jeszcze i w innym znaczeniu mówić o trzech Paryżach jednocześnie czyli o trzech miastach w jednym: plutokratycznym, artystyczno - naukowo - twórczym, pracowniczo-robotniczym. Można by nawet wskazać wyraźnie na mapie Paryża rozmieszczenie topograficzne tych grup tak odrębnych, a zarazem nierozerwalnie powiązanych ze sobą w harmonijnym krwiobiegu najistotniejszych interesów tej jedynej w świecie metropolii, słusznie nazwanej miastem światłości.

Prócz Paryża, jądra światłości, są też i mniej jasne okraje i peryferia tego miasta. Owszem, jest Nadparyż, do którego zaliczyłbym wszystkich przelotnych turystów, ale jest też i bardzo mroczny, o wielu odcieniach nieraz tragicznej ciemności, Podparyż, o którym się przeważnie nie pisze, ale o którym wiele się mówi. O nim właśnie specjalnie — następnym razem.

Na próbie „PSTRĄGA"

Tekst: O. PRZECHERA

Foto: W. BILIŃSKI

Reporter „Odgłosów" wykąpawszy się w łaźni miejskiej przy ul. Zachodniej uległ zawodowej ciekawości i przy okazji zajrzał na drugie piętro do sali Związku Wędkarskiego. Nie chodziło mu bynajmniej o suchą zaprawę w łowieniu płotek czy karasi lecz o Teatrzyk Studencki „Pstrąg", który musi korzystać z przytułku Miejskich Łaźni, dziedziców i prawnych włodarzy sali teatralnej.

Pierwsze wrażenie było zaskakujące: ciemno, zimno, głośno i bardzo ruchliwie. Cały zespół studenckiego teatrzyku był w nieustannym, gorączkowym ruchu — zgoła jakby się zdarzył jakiś kataklizm. Ale bądźmy spokojni, to tylko jedna z prób „Pstrąga" przed premierą nowego programu. Reporter „Odgłosów" mógł się naocznie i nausznie przekonać, że program ten zapowiada się bardzo interesująco. Szkoda, że prywatna cenzura teatrzyku nie pozwala przytoczyć mu paru dowcipów, czy choćby jednej zwrotki z piosenek mistrza Jasia Słowikowskiego, które to piosenki bardzo reporterowi przypadły do gustu.

Lecz można chyba zdradzić, że nowy program przygotowywany jest z myślą o studenckim festiwalu kulturalnym, który odbędzie się na wiosnę w Krakowie „Pstrąg", jako jeden z najciekawszych studenckich teatrzyków satyrycznych ma szansę wyjechać na VII Festiwal Młodzieży i Studentów do Wiednia. A pora już, by zespół pokazał się za granicą. Pozostałe STS-y (Warszawski czy Bim Bom) występowały w Moskwie, Paryżu, zwiedziły Jugosławię. „Pstrąg", mimo zdobycia pierwszego miejsca na ostatnim przeglądzie w Gliwicach, jak dotąd nie wyjeżdżał nigdzie. Można by w tym miejscu ponarzekać, że w Łodzi to tak zawsze, ale dosyć już tej publicystyki, bo oto na scenę wchodzą aktorzy. Odbywa się pierwsza próba nowego tekstu; na razie czytanie głośno, potem krótka analiza, czyli „co autor chciał przez to powiedzieć" i wreszcie zaczyna się gra. Jak zawsze na początku jest dużo „sypek", trochę szwankuje dykcja, to trzeba wyraźniej, to głośniej. Reżyser pracuje osobno z poszczególnymi wykonawcami.

„Pstrąg" jest teatrem amatorskim, aktorzy rekrutują się spośród studentów i absolwentów, wśród których można spotkać architektów, nauczycieli, a nawet ludzi chwilowo bez pracy. Na próby każdy przychodzi po skończonych zajęciach, niektórzy prosto z ćwiczeń i wykładów, niektórzy z biur, urzędów czy redakcji. Oprócz tak zwanej więzi artystycznej, tych młodych ludzi łączy przyjaźń. Trzeba wspomnieć przy tym, że istnieją i jak do tej pory nieźle prosperują (wprawdzie nie mając mieszkań — Wysoka Rado zlituj się!) cztery „pstrągowe" małżeństwa. Miejmy nadzieję, że będzie ich więcej. Już niedługo, jak powiadają dobrze poinformowani, przyjdzie na świat pierwszy mały Pstrążek. Do tej doniosłej w historii teatru uroczystości szykuje się cały zespół.

Podczas gdy na scenie gra nabiera rumieńców, wciśnięta w jedno z wielu krzeseł widowni scenografka szkicuje projekty kostiumów i dekoracji. Szycia dokonuje się też własnymi siłami. „Co można — to sami"! Ta generalna zasada obowiązująca w „Pstrągu" przejawiła się chyba najwyraźniej podczas remontu sali. Teraz sala przy ul. Zachodniej wygląda... hm... okazale. Świeżo wymalowane ściany, obite bordo płótnem i nowe boczne oświetlenie, nadały jej co się zowie estetyczny wygląd. A szatnie! Wybudowano przechowalnie i garderoby, całe zaplecze jest przygotowane do nowej premiery. Naturalnie oprócz pokoiku Związku Wędkarskiego, który jest akurat na drodze prowadzącej z garderoby na scenę. No, ale tego już sam „Pstrąg" nie załatwi...

Jak przystało na teatr studencki, „Pstrąg" działa pod opiekuńczymi skrzydłami Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich. Tu przychodzi korespondencja z całego świata np. kilka dni temu list z Londynu. Studenci angielscy proszą o przysłanie tekstów i zdjęć z ostatnich spektakli. Pytają o historię zespołu, o jego członków. „Pstrąg" taką korespondencję prowadzi z wielu organizacjami studenckimi na całym świecie. Raz po raz nadchodzą zaproszenia na występy z całego kraju. Niestety, nie zawsze jest czas na występy. Przecież trzeba pracować ,uczyć się, zdawać egzaminy. No i trzeba również przygotowywać nowy program.

Odwieczny tułacz, STS „Pstrąg" nigdzie nie może zagrzać miejsca. Powstał, wyrósł i podrósł w małej auli Uniwersytetu przy ulicy Buczka. Na trzecie piętro, po krętych żelaznych schodach przychodzili na pierwsze premiery pierwsi widzowie. Był to ten okres, kiedy młody teatrzyk stworzony przez kilku zapalonych filologów zaczynał ząbkować. Pierwsza premiera pt. „Pstrągi" (od nazwy tego programu, pochodzi nazwa teatru) nie przyniosła spodziewanego sukcesu. Ale zaczęto już mówić... Dobrze czy źle, ale mówiono...

Potem „Pstrąg" wołał „Nie mamy czasu" i drażniły go „Fałszywe nuty". Za ten ostatni program teatrzyk otrzymał nagrodę „Szpilek" — Kaduceusza. Program ten kończył pobyt „Pstrąga" na ulicy Buczka. Pewnego dnia przyszła komisja, w skład której wchodził przedstawiciel Straży Pożarnej i stwierdziła, że aula na ulicy Buczka nie nadaje się na przedstawienia, gdyż w razie pożaru... państwo się już domyślają, wąskie schody, trzecie piętro, jednym słowem katastrofa.

Teatr został pozbawiony rzeczy podstawowej — sali. Zaczęto poszukiwania. Teksty były napisane, natomiast aktorzy nie mieli ich gdzie wykonywać... Te i jeszcze inne względy, o których nie mówmy, przyczyniły się do tego, że programu „Twoje miasto otwarte" nikt nie oglądał. Potem błysnęła iskierka nadziei. W dawnej szkole ZMP na Karolewie była mała salka. A więc jeździły „Pstrągi" na Karolew aby przeprowadzać swoje próby. Idylla nie trwała zbyt długo. Szkoła ZMP oddana została na szpital, a „Pstrągi" znowu zostały na lodzie. Jak mówią co starsi członkowie zespołu — był to ciężki okres. Dotychczas sprawnie pracująca maszyna zaczęła szwankować. Najgorzej dawał się odczuć brak reżysera. Ale na wszystko znalazła się rada. Reżyser przyjeżdżał z Warszawy, aktorzy mieli próby w Domu Kultury ZBP im. Marchlewskiego a teatr wystawił nową premierę pt. „Czajnik". Program ten jak twierdzą złośliwi najbardziej podobał się prezesowi Polskiego Radia Władysławowi Sokorskiemu, który przyznał teatrowi nagrodę. Ale tradycji musiało się stać zadość. Salę w Domu Kultury przerobiono na kino, a „Pstrągi" przeniosły się do łaźni. Resztę to już chyba państwo wiedzą. Nowy program pt. „Kraj na ziemi", ogólnopolskie eliminacje w Gliwicach i I miejsce.

Teraz na razie jest wszystko w porządku. Próby są w pełnym toku, program jest już prawie napisany, premiera niedługo. Wprawdzie ktoś zobaczył (już po remoncie), że mury łaźni przy ulicy Zachodniej pękają ze starości i być może będzie trzeba znowu gdzieś przenieść teatr, ale „Pstrągi" się nie zrażają.

Wręcz przeciwnie, twierdzą, że widocznie ich młodość rozsadza wszystkie stare mury i stąd mają takie trudności z uzyskaniem własnej, porządnej sali teatralnej.

Opinie w sprawie współczesnej strategii i techniki wojennej

TEORIA „NASYCENIA ATOMOWEGO“

(Dokończenie z poprzedniego numeru).

Pomimo optymistycznych oznak dalszy wyścig zbrojeń jest, niestety, faktem. Od niedawna wprawdzie ma on już nieco inny charakter. O ile do roku 1955 było to doskonalenie konstrukcji bomb atomowych i powiększanie ich zapasów, to obecnie ciężar prac badawczych — a tym samym wydatków — przesunął się w kierunku poszukiwania tak zwanej „broni ostatecznej". Jest to osławiona na Zachodzie koncepcja „wojny za naciśnięciem guzika" — wojny międzykontynentalnych rakiet z głowicami wodorowymi. Rakiety takie już są. Kilka z nich wprowadziło na orbity satelitów Ziemi, a ostatnio wystrzelona dała początek nowej planecie. Obliczono, że jedna taka rakieta wraz z głowicą wodorową kosztuje miliard dolarów (rakiety „pokojowe" do wystrzeliwania satelitów są oczywiście dużo tańsze). Pociski międzykontynentalne rozwijają ogromną szybkość i wchodzą w stratosferę jeszcze nad własnym terytorium, co zabezpiecza je przed zestrzeleniem. Dopiero w stratosferze, sposobem zdalnego sterowania, pociski otrzymują właściwy kierunek lotu i z szybkością meteoru spadają na cel.

„Broń ostateczna" zmierza do wyeliminowania lotnictwa ze strategii atomowej. Nawet superdźwiękowe „Convairy" są zbyt powolne i nie gwarantują możliwości przeniknięcia nad terytorium nieprzyjacielskie. Równocześnie pocisk międzykontynentalny wydaje się już być ostatnim słowem, jakie technika ludzka może wypowiedzieć w sprawie szybkiego przenoszenia ładunków atomowych.

W technice rakiet międzykontynentalnych przoduje bezspornie ZSRR. „Rosjanie — pisał po wyrzuceniu sputników komentator N. Y. „Herald Tribune" — zawsze byli słabsi od nas w lotnictwie. Dlatego chytrze i po cichu skoncentrowali swe badania na technice rakietowej. A my, upojeni lotniczą potęgą, przespaliśmy moment, gdy wszystkie tak kosztowne bombowce strategiczne stały się kupą bezużytecznego szmelcu". Potwierdza to „Prawda" ze stycznia 1957 r. „Stany Zjednoczone... w żadnym wypadku nie posiadają monopolu na międzykontynentalne pociski sterowane. W tej dziedzinie Stany Zjednoczone pozostały daleko w tyle za nami".

Oczywiście USA dokładają ogromnych wysiłków, aby dogonić Związek Radziecki i osiągnąć „nasycenie". Według zgodnych przewidywań jest to sprawa kilku lat, a zważywszy, że „huraganowy program zbrojeń rakietowych" (jak określili go sami Amerykanie) został zapoczątkowany w USA zaraz po wystrzeleniu pierwszego radzieckiego sputnika, osiągnięcie „punktu krytycznego" może być sprawą kilkunastu najbliższych miesięcy.

Już dziś w Ameryce obserwuje się duże ograniczenia w zbrojeniach atomowych. Na przykład wydatnie spadły zamówienia na rudę uranową — tak że przedsiębiorstwa zajmujące się jej poszukiwaniem i eksploatacja zażądały kilkuletniej gwarancji stałych cen zakupu. Również — i to jest jeszcze bardziej znamienne — powołano w USA komisję do przedłożenia odpowiednich wniosków w sprawie „rozbrajania" wyprodukowanych bomb atomowych pod kątem zastosowania uzyskanych tą drogą materiałów rozszczepialnych w elektrowniach atomowych. Widać więc już wyraźne objawy działania „teorii nasycenia" i chyba niedługo będziemy czekać na jej zbawienne skutki w odprężeniu stosunków międzynarodowych.

* * *

Co dalej? Czy, zapyta ktoś, po pocisku międzykontynentalnym nie zostanie wynaleziona jakaś inna, jeszcze potworniejsza broń, dająca szansę rozstrzygnięcia wojny na korzyść posiadającego przewagę? Nie! Takiej broni już nie będzie. Obecny poziom uzbrojenia, a zwłaszcza technika rakietowa, wyklucza możliwość rozstrzygnięcia wojny. Nie należy tego oczywiście rozumieć jako zaprzeczenia dalszego postępu techniki. Tego zresztą nikt nie zdoła przewidzieć. Wystarczy wszak, że dziś już przerzut armii desantowych z kontynentu na kontynent jest wykluczony. Wystarczy, że dziś już posiadane środki masowej zagłady osiągnęły poziom wzajemnego zniszczenia się przeciwników, nawet przy tak niskim współczynniku „trafiania" jak 1 proc. A ponadto — i przede wszystkim — nie ma już dziś monopolu wiedzy. Oba bloki śledzą uważnie swoje poczynania i nie ma praktycznie szansy na wyprodukowanie rewelacyjnej, rozstrzygającej broni, która mogłaby zaskoczyć czy zastać nieprzygotowaną którąś ze stron.

* * *

Wojny są stare jak historia ludzkości. Ale wojny nie zawsze były jednakowe. W zaraniu cywilizacji walczyły ze sobą miasta, później związki miast, narody, federacje narodów. U progu II wojny światowej były już na całym świecie tylko trzy siły, które mogły ze sobą prowadzić wojnę na wielką skalę: państwa zachodnie, Związek Radziecki i faszyzm. Dwie pierwsze w obronie podstawowych zasad wolności zniszczyły trzecią siłę.

Ale nad światem wisi groźba jeszcze jednej, straszliwej wojny. Wywołać ją chciałyby siły odwetowe państw zachodnich.

Marzą o niej pogrobowcy faszyzmu Ale jeżeli w I wojnie stawką było 12 milionów istnień ludzkich, w II wojnie — 52 miliony, to tym razem stawką byłoby ryzyko katastrofy powszechnej. Stopniowo ryzyko stałoby się oczywistą konsekwencją. Stopniowo świadomość tej konsekwencji obezwładnić musi nawet najbardziej zbrodnicze ręce, które chciałyby targnąć się na pokój.

Nie jest łatwo zmienić sposób myślenia. Nie jest łatwo otrząsnąć się z nieufności. ..

Ale gdy ludzkość znalazła się pod presją hamletowskiego „być albo nie być", stało się jasne, że zmiana sposobu myślenia — to właśnie „być" a „być" — to współistnieć.

Droga do współistnienia jest prosta. Nakreślają ją propozycje radzieckie w paru lapidarnych punktach — „Poszanowanie wzajemne ustrojów, zaniechanie prób z bronią nuklearną, stopniowe rozbrojenie, nawiązanie żywszych kontaktów kulturalnych i wymiany handlowej" I oto właśnie teraz obserwujemy kiełkowanie tej idei.

Opracował *F. G.*

EDWARD CASTEL

INTERWENCJA w SUEZIE (7)

O godzinie 3.17 po południu bukiet spadochronów rozkwita nad Port Fouad. O północy miasto jest całkowicie w ręku Francuzów. Spadochroniarzom pomaga miejscowa policja, wspólnie przeszukują domy. Argument dowódcy francuskiego, że jeśli odmówią współdziałania, flota anglo - francuska o świcie zbombarduje miasto, był przekonywający.

Bezpośrednim przełożonym pułkownika Chateau - Jobert jest generał Butler, Anglik, dowódca całości oddziałów spadochronowych. Butler z kolei zwraca się do generała Stockwella, który jest na pokładzie *Tyne*, w połowie drogi między Port Saidem a Cyprem. Stockwell łączy się z generałem Beaufre, który jest na pokładzie *Gustave Zede*. Z kolei obaj łączą się z generałem Keighthleyem na Cyprze. Generał Butler zostaje upoważniony do prowadzenia pertraktacji z komendantem egipskim, o świcie jego śmigłowiec ląduje w Port Fouad. Samoloty wstrzymały ostrzeliwanie miasta, generał El Moguy czeka, telefonuje co 15 minut. Ale generałowie Stockwell i Keigthley nie mogą ustalić, w jaki sposób podzielić odpowiednio zaszczyt przyjęcia kapitulacji między Anglików i Francuzów". Dzielą na kawałki skórę niedźwiedzia, który jeszcze żyje. Zaburzenia w jonosferze utrudniają łączność radiową. Wreszcie warunki kapitulacji zostają uzgodnione i przekazane do Port Fouad. Są ciężkie. Przyjeżdża generał El Moguy ze swoim sztabem.

Generał Butler robi wszystko żeby ich upokorzyć. Każe im czekać prawie pół godziny w poczekalni, z której przezornie usunięto krzesła. Rozmowa jest krótka. Egipcjanie nie chcą mówić o kapitulacji, przybyli w sprawie tymczasowego zawieszenia broni — mają 700 zabitych i wielu rannych, w tym kobiety i dzieci. Ostrzeliwanie lotnicze uniemożliwia udzielenie im pomocy.

— Jutrzejsze ostrzeliwanie miasta z dział okrętowych może przynieść śmierć 10.000 osób.

— Porozumiem się z Kairem — mówi generał El Moguy. Udzielę odpowiedzi o 10.30 rano.

O 10.25 dzwoni telefon.

— Kair odrzucił warunki kapitulacji.

Należy sądzić, że gdyby warunki kapitulacji były łagodniejsze, a pertraktacje prowadzone inaczej generał El Moguy przyjąłby kapitulację bez odwoływania się do Kairu. Lądowanie następnego dnia mogłoby się odbyć bez oddania strzału, czołgi anglo-francuskie przejechałyby miasto szybko i wydostałyby się na szosę prowadzącą do Suezu. Szosa ta nie była w ogóle, względnie bardzo słabo, broniona...

* * *

Dzień w dzień radio cypryjskie zapowiadało inwazję Egiptu. Egipcjanie spodziewali się jej 12, potem 14 września. Nie nastąpiła. Przestali więc zwracać uwagę na „Głos Cypru".

Pierwsze bombardowania lotnisk, koszar i innych obiektów nie wywołały w Port Saidzie paniki. Życie miasta płynęło normalnie. Nawet silny nalot na lotnisko Gamil pod miastem przeszedł bez większego wrażenia.

Dzień 4 listopada był niedzielą. Jak zwykle miejscowy high-life zgromadził się na tarasie hotelu Casino. Nieskazitelnie białe obrusy na stolikach, kolorowe lampiony, wytworne stroje, cicha muzyka. Kelnerzy krzątają się bezgłośnie.

Nagle ryk silników odrzutowych. Orkiestra urywa w pół taktu. To samoloty anglo-francuskie atakują baterie obrony portu.

Pierwsze samoloty nie otwierają ognia. To przynęta dla artylerii przeciwlotniczej, która ma zdradzić swoje stanowiska. Rozprawiają się z nią następne maszyny. Oto bateria działek Boforsa otworzyła ogień. Natychmiast jeden z samolotów odrywa się od grupy, nurkuje — gwizd-ryk, odpalenie rakiety, działka wyskakują w powietrze jak zabawki, kanonierzy lecą, jak szmaciane lalki. Po dziesięciu minutach inna bateria zajmuje w tym samym miejscu stanowiska — znów ryk nurkującego samolotu, eksplozje, bateria przestała istnieć. Przybywa następna i ginie tak samo bohatersko, tak samo bezużytecznie.

Samoloty nadlatują od morza, zawracają nad miastem i dopiero wówczas otwierają ogień. Wszędzie — na balkonach, tarasach, w oknach, pojawiają się policjanci, młodzi ochotnicy Armii Wyzwolenia Narodowego, otwierają do przelatujących maszyn ogień z karabinów, broni maszynowej, pistoletów. Cóż mogą zrobić samolotom lecącym z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę?

Niesamowite, nierzeczywiste widowisko. Jak halucynacja. Jak kolorowy, trzywymiarowy film wyświetlany na najszerszym z ekranów.

Widowisko — bo miasto samo nie jest atakowane, wytwornym paniom i panom na tarasie hotelu Casino, przechodniom na ulicach nic nie grozi, nie oni są celem są tylko widzami. Patrzą.

Wieczorem tego dnia radio cypryjskie co dwie godziny woła: „Obywatele Port Saidu! Ewakuujcie rejon plaży równolegle do linii brzegu aż po ulicę Teufik".

Teraz chyba wybuchnie panika? Nie. I teraz ostrzeżenia tego nikt nie traktuje poważnie. Kawiarnie pozostają otwarte, tak jak wszystkie sklepy, mieszkańcy miasta w dalszym ciągu normalnie pracują, bawią się.

Następnego dnia o świcie wokół miasta grzmią działa A potem niebo staje się jedwabne: jedwab zielony, khaki, biały, czerwony — spadochrony wszędzie. Po południu takie same wielobarwne bukiety wykwitają nad Port Fouad po drugiej stronie kanału.

Teraz w Port Saidzie wybucha panika.

Ale prawdziwe piekło zaczyna się dopiero następnego dnia, 6 listopada o świcie zamiast nieba są tylko samoloty — samoloty nurkujące z rykiem — wyciem silników. Nie słychać już pojedynczych eksplozji — zlewają się w jeden ciągły wybuch. Robi się ciemno, dym z płonących zbiorników benzyny w parku Esso przesłania słońce, które świeci już tylko słabym blaskiem księżyca. Lądowanie się rozpoczęło.

Poprzedniego dnia w mieście rozeszły się pogłoski o zawieszeniu broni, o kapitulacji. To, co się dzieje jest tym większą niespodzianką.

(d. c. n.)

TRANSPORT LOTNICZY W BURMIE. W minionej wojnie wykorzystanie lotnictwa miało charakter wybitnie jednostronny — bojowy Prawie wszyscy historycy II wojny zgodni są w opiniach, że sztaby wojskowe — zarówno aliantów, jak i państw osi — niesłusznie zlekceważyły kolosalne możliwości transportu lotniczego. Był wszakże jeden front, na którym transport lotniczy nie tylko był stosowany, ale nawet posiadał zdecydowaną przewagę nad innymi środkami transportu — front w Burmie.

Podczas kampanii burmeńskiej, od grudnia 1943 r. do czerwca 1944 r., a więc w czasie 7 miesięcy, samoloty transportowe i helikoptery przewiozły łącznie 1 200.000 ton ładunków i prawie 1.500.000 ludzi. Nie obejmowało to zaopatrzenia dla Chin — również dokonywanego drogą lotniczą (ponad Himalajami!) i wynoszącego przeciętnie 50.000 ton ładunków miesięcznie w czasie dwóch lat.

O ile zaopatrzenie dla Chin, w stosunknu do ich ogromnych potrzeb, miało w tym układzie charakter raczej symboliczny, to transport lotniczy w kampanii burmeńskiej stanowił prawdziwą rewelację w technice wojennej. Wobec tej techniki, Japończycy szybko uznali się za pobitych i opuścili Burmę rezygnując z blokady Chin, podczas gdy ich front na Pacyfiku jeszcze przez 14 miesięcy wytrzymywał amerykańskie ciosy.

Teoretycznie samolot o nośności 3 tony ładunku może zastąpić 8—10 ciężarówek tego samego tonażu Oczywiście dotyczy to sytuacji, w której ciężarówki posuwają się po drogach bitych W takim zestawieniu jednak samolot ekonomicznie nie wytrzymuje kalkulacji. Wszakże gdy kampania toczy się w terenie szczególnie trudnym — jak to miało miejsce w Burmie, okazało się, że samolot może z powodzeniem zastąpić 30—50 ciężarówek! To czyniło go już ekonomicznie opłacalnym, nawet bardzo opłacalnym. Natomiast szybkość i elastyczność dostaw lotniczych oraz praktycznie nieograniczone możliwości rozprzestrzeniania walki i uderzania w najmniej przygotowanych punktach — były czystym zyskiem strategicznym

Lista ładunków przewożonych przez samoloty w kampanii burmeńskiej jest bardzo obszerna i oprócz sprzętu i zaopatrzenia podstawowego (żywność, amunicja, broń ręczna, umundurowanie) obejmuje również „jeepy", lekkie ciężarówki, miotacze min, działa przeciwpancerne, małe opancerzone transportowce, prefabrykowane baraki mieszkalne, paliwo płynne. Zasługuje na uwagę fakt, że ogromna większość alianckich oddziałów operujących w Burmie przez długie miesiące zaopatrywana była we wszystko wyłącznie z powietrza!

DRAMAT W TATRACH

(Dokończenie ze str. 1)

tych brały udział oprócz ekipy polskiej, także i czechosłowacka, szwajcarska oraz austriacka.

Wawro pozostawił po sobie jak najlepsze, serdeczne wspomnienia przyjaciół i znajomych. Był skromnym, uczynnym, odważnym sportowcem i ukochanym synem.

Bardzo ciekawą pamiątkę, jaką została po tym taterniku stanowi dziennik pisany przez niego podczas tragicznej w skutkach wyprawy. Pisał on go prawie do ostatniej chwili swego życia. Redakcja postanowiła przekazać swoim czytelnikom obszerne fragmenty tego ciekawego pamiętnika, ilustrowane zdjęciami wykonanymi podczas ostatniej wyprawy przez Stanisława Wawrytkę.

„W dniu 9 kwietnia 1958 r. wyruszyła grupa szturmowa z Tatrzańskiej Łomnicy na Zdziarską Przełęcz, skąd o godz. 6.30 przedarła się na Grań Tatr.

Skład grupy szturmowej: Krzysztof Berbeka, Michał Gajewski, Stanisław Wawrytko i Ryszard Wawro.

10 KWIETNIA 1958 r. O godzinie 4 rano pobudka. Na śniadanie: kawa, bułki, bardzo smaczny dżem, masło.

Nasze buty są zmarznięte „na kość", jeszcze z poprzedniego dnia. Jest mroźno, zaczyna padać śnieg. Wychodzimy z przełęczy pod Kopą o godz. 7.20 idąc na Jagnięcy Szczyt. Warunki są bardzo trudne, śnieg głęboki (około 40 cm). Pod śniegiem szreń łamliwa. Na Grani skala pokryta świeżym puchem, dużo spadających lawinek. Na Jagnięcym Szczycie jesteśmy po 11. Tam odpoczywamy i spożywamy po kawałku chałwy, cytryny, pijemy sok.

W partii szczytowej asekurujemy się linami, zejście na Kołową Przełęcz jest bardzo trudne i niebezpieczne. Pada bardzo gęsty śnieg. Mamy całkowicie przemoczone plecy, kolana. Rezygnujemy z dalszej drogi ze względu na coraz większe niebezpieczeństwo.

O godzinie 13.00 znajdujemy z trudem miejsce na biwak na Przełęczy Kołowej. Przygotowanie platformy trwało około półtorej godziny. Ubrania są już całkowicie mokre. Śnieg sypie jak opętany, zasypuje namiot. Mamy bardzo mało paliwa. Skromny obiad składa się z gołąbków z puszki i herbaty. O 19 gotujemy kolację, smaczną zupę. Naszym niezapomnianym kucharzem jest Staszek Wawrytko.

11 KWIETNIA 1958 r. Kołowa Przełęcz. Po zbadaniu warunków, które stały się bardzo niebezpieczne (dużo głębokiego śniegu), postanawiamy zrezygnować chwilowo z dalszego marszu i przeczekujemy cały dzień susząc mokre ubrania własnym ciepłem.

12 KWIETNIA 1958 r. Kołowa Przełęcz. Poranek powitał nas pięknym słońcem. Wstajemy późno, bo około godziny 8.30. Po małej próbie stwierdzamy, że dalszy marsz jest niemożliwy (toniemy po pas w śniegu). Brak żywności oraz paliwa zmusza nas do zejścia do Doliny Jagnięcej po bardzo lawiniastym stoku.

14 KWIETNIA 1958 r. Pobudka o godzinie 3.15. Z Doliny Jagnięcej wychodzimy o 5.30. Modrą Turnię osiągamy w trzy godziny później, a w ciągu dalszej godziny jesteśmy na Modrej Przełęczy. Tego dnia następnymi naszymi podetapami były Kołowy Szczyt, Czarna Przełęcz i Czarny Szczyt, który zdobyliśmy o 13.50.

15 KWIETNIA 1958 r. WTOREK. Wychodzimy o 7.30. Michał i Staszek wchodzą na Śnieżną Przełęcz. O godz. 8.15 Krzysztof i ja zdobywamy Śnieżny Szczyt, następnie Lodowy Zwornik o godz. 9.20. O 10 Szczyt Lodowy, po godzinie Kopę Lodową. Cały czas szliśmy po starych śladach. Z Lodowego na Kopę Lodową szliśmy ściśle Granią, która była bardzo trudna, musieliśmy asekurować się linami.

Kwadrans po 12 jesteśmy na Harnaskich Turniach, następnie o 13.10 na tzw. Białej Ławce. Na Ostry idziemy we dwójkę, tzn. Krzysztof i ja. Szczyt osiągamy o godzinie 17.45, po czym zjeżdżamy na Przełęcz, a dalej żlebem w dół na Strzeleckie Pola. W tym czasie Michał i Staszek wychodzą na Jaworową Przełęcz i Jaworowy Szczyt by zejść również na Strzeleckie Pola.

Biwak zakładamy pod Zawracikiem Rówienkowym.

16 KWIETNIA 1958 r. ŚRODA. Zawracik Rówienkowy. Budzimy się o godz. 7. Zostawiamy namiot i w dwóch grupach wychodzimy o 12 na Mały Jaworowy. O 13.20 osiągamy Wschodnią Rówienkową Turnię. Poprzez Przełęcz Rówienkową, Graniastą Turnię, Świstową Przełęcz docieramy o 14 na Świstowy Szczyt. Powracamy do bazy. Pada mokry śnieg. Jesteśmy przemoczeni. Grupa pomocnicza suszyła nam rzeczy w schronisku „Zbójnicka Chata".

17 KWIETNIA 1958 r. CZWARTEK. Wychodzimy o 9. Jest mglisto, pada drobny śnieg z deszczem. Grupa pomocnicza pomaga nam wynieść część plecaków na Rochatkę o godzinie 11. Przechodzimy przez: Turnię nad Rochatką, Dziką Turnię, Polski Grzebień, Chatę Wysoką, Litworową Przełęcz, Litworowy Szczyt, Wielicką Przełęcz i Wielicki Szczyt. Po 17 schodzimy na biwak do Doliny Wielickiej. Rozbijamy namiot i próbujemy rozpalić prymusy benzynowe, aby podsuszyć namiot i materace. Opada ciężka, mokra mgła, prymusy nie chcą się palić. Jest bardzo zimno, mokro. Nie możemy zagotować nawet manierki herbaty, a zaraz mają wrócić Michał Gajewski i Staszek Wawrytko, którzy poszli na Wielicki i Litworowy Szczyt aby przygotować częściowo drogę na jutrzejszy dzień.

Wieczorem zrywa się silny wiatr, pada śnieg. Pozostawione mokre wiatrówki zamarzają, wiatr jest bardzo silny, uniemożliwia wyjście z namiotów, które są całkowicie zamarznięte. Tym razem Krzysztof ugotował bardzo dobrą zupę pomidorową, po jej spożyciu humory wyraźnie się poprawiły.

18 KWIETNIA 1958 r. PIĄTEK. Ranek taki jak noc, jest tak samo zimno, wieje silny wiatr i pada śnieg (kurniawa). O marszu nie ma mowy. Zgotowaliśmy śniadanie i śpimy w dalszym ciągu podczas dnia. Jest trochę cieplej niż w nocy.

Martwi nas, że pogoda nie zmienia się, jesteśmy bardzo opóźnieni, a musimy wciąż jeszcze czekać.

19 KWIETNIA 1958 r. SOBOTA. Przez całą noc wieje silny wiatr ze śniegiem. Rano sytuacja nie ulega poprawie. Wstajemy dość późno, bo dopiero o godz. 9. Decydujemy, że przejście Gerlachu od strony Wielickiej Doliny jest niemożliwe.

Po siedemnastej wychodzimy do Batyżowieckiej Doliny, gdzie o godz. 19.30 ustawiamy namiot, tym razem suchy, przyjemny. Pełni jesteśmy optymizmu na najbliższe dni.

20 KWIETNIA 1958 r. NIEDZIELA. Już w nocy o 3 godzinie usłyszałem bębnienie po dachu — to największy nasz wróg, nowy opad.

Rano jest cieplej — 2° C, pada gęsty śnieg, jest mokro. Kierownik wyprawy Michał Gajewski mówi, że dalsze chodzenie jest bardzo niebezpieczne. W ciągu dnia bez przerwy, o godz. 12 jest już ze 25 cm świeżo spadłego, bardzo sypkiego śniegu. Chwilami wieje silny wiatr. Przewidziany do zdobycia Gerlach, Batyżowiecki Szczyt i Kaczy Szczyt stoją nietknięte przez nas. Do punktu żywnościowego pod Kozią Strażnicą mamy jeden dzień. Dwójka z grupy warszawskiej poszła sprawdzić czy jest możliwość przejścia Gerlacha.

W pół godziny po ich powrocie runęła lawina tym stokiem, którym schodzili. Lawina urwała się z Batyżowieckiego Szczytu, zeszła do doliny, gdzie stały nasze namioty.

O 14 usłyszeliśmy daleki odgłos. Wyjechaliśmy z Krzysztofem — o kilka metrów od namiotu grupy warszawskiej przetoczyła się lawina. Wystaje tylko jeden czubek namiotu, po chwili wołanie: „Michał! Krzysztof! Chodźcie, jesteśmy zasypani!" Szybko odgrzebaliśmy ich. Byli unieruchomieni w swoim namiocie, na szczęście powietrza mieli dosyć. Ich śpiwory i plecaki przenieśliśmy do naszego namiotu. Musieli zszywać namiot, był podarty, 3 godziny szukaliśmy żywności, benzyny i raków. Szczęściem lawina nic nie zabrała ze sobą. Krzysztof nagotował dobrej zupy. Wiał silny wiatr. Lawina, która zeszła i zła pogoda podziałały na wszystkich bardzo deprymująco. Wszyscy poczuliśmy, że jest źle, istnieje groźba lawin, które mogą niespodziewanie spowodować tragedię.

Kilkakrotnie analizujemy sytuację; iść stąd czy zostać? Zostajemy. Niebezpieczeństwo istnieje w dalszym ciągu, śnieg pada, niestety, dalej.

22 KWIETNIA 1958 r. WTOREK. Tak jak przewidywałem namiot jest całkowicie zasypany. Leżymy jak w katakumbach. Konstrukcja ramowa namiotu napięta jest do ostatnich granic wytrzymałości. Ciasno w namiocie jest tak, że nie można się poruszyć. Mokre zwały śniegu cisną na nas przez cienką ściankę namiotu. O godzinie 6 wstajemy, odkopujemy namiot, co zajmuje nam około dwóch godzin czasu. Namiot przenosimy z tego niebezpiecznego miejsca na małą morenkę poniżej, gdzie będzie wydmuch, lecz za to bezpiecznie. W nocy wszyscy bardzo denerwowali się, czy czasami nie porwie nas lawina. Powoli osacza nas niejasne poczucie niebezpieczeństwa.

Dzisiaj od rana wiał silny wiatr tak jak wczoraj. Jednak około 13 uspokoiło się. Mgły snują się w dolinie. Jest znacznie cieplej.

O godzinie 16 wychodzimy dwójkami na Gerlach i Batyżowiecki. Warunki są bardzo niebezpieczne. Toniemy w świeżo spadłym, sypkim, lawiniastym śniegu powyżej kolan. Kilka razy czujemy tąpnięcia pod nogami. Po nieudanej próbie wracamy do namiotu, jesteśmy trochę zawiedzeni. Jak trudno jest zwyciężyć góry!

Czekamy co przyniesie ranek. Nocą trochę wieje i jest mroźniej.

23 KWIETNIA 1958 r. ŚRODA. Jak zawsze pobudka o godzinie 6. Gotujemy bardzo skromne śniadanie. Będziemy próbowali przedostać się przez Przełęcz pod Drągiem pod Kozią Strażnicą. Jednocześnie Krzysztof z Kulińskim (z grupy warszawskiej) mają wyjść na Batyżowicki i Gerlach...".

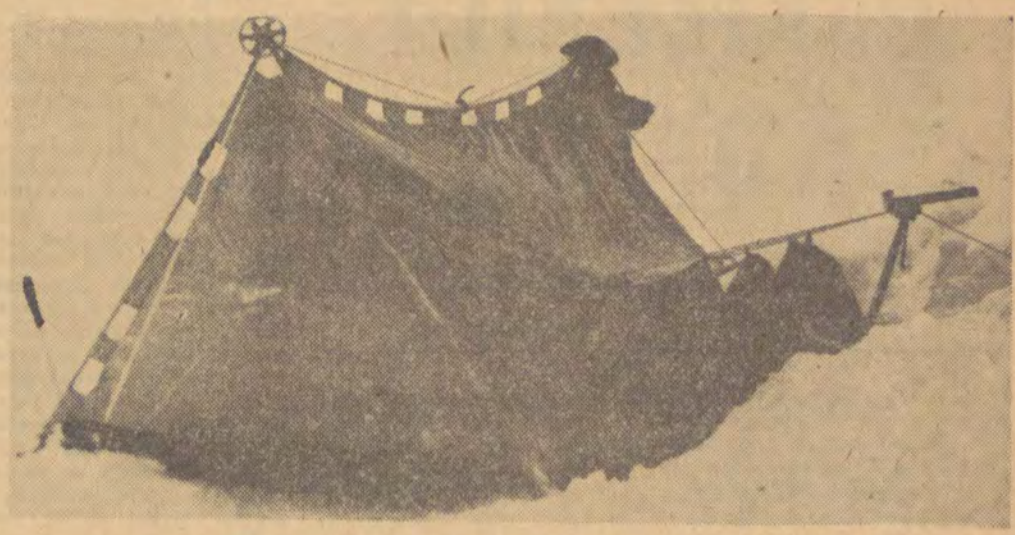

Namiot wg wzoru namiotu himalajskiego, projektantem był Krzysztof Berbeka

Ryszard Wawro (z lewej) i Stanisław Wawrytko na trasie

Krzysztof Berbeka, ratownik zakopiańskiego GOPR-u

W tym miejscu urywa się dziennik pisany przez Ryszarda Wawro. Tego fatalnego dnia o godzinie 14 gdy Wawro, Gajewski i jeden z grupy warszawskiej szli zdobyć Przełęcz pod Drągiem, zupełnie niespodziewanie zeszła lawina. Gajewskiego i Wawro przysypał śnieg, trzeci uratował się pod tzw. zestrzałem skalnym.

Akcję ratunkową podjęła natychmiast grupa Berbeki, Wawrytki i Kulińskiego. Najszybciej odnaleziono Gajewskiego, który zdołał wystawić rękę ze zwałów śniegu. Natychmiast też rozpoczęto poszukiwania Wawry. Niestety zarówno grupa szturmowa zakopiańska jak i warszawska nie posiadały sond lawinowych. Posłano więc po czeską Horską Służbę. W międzyczasie po 15 minutach znaleziono ślad Wawry. Po odkopaniu natychmiast stosowano sztuczne oddychanie (około 5 godzin). Niestety mimo sztucznego oddychania i zastrzyku pobudzającego pracę serca zrobionego przez przybyłego lekarza czeskiego, nie udało się przywrócić Ryszarda Wawro do życia. Ciało tragicznie zmarłego taternika przewieziono do Zakopanego, gdzie społeczeństwo zakopiańskie urządziło uroczysty pogrzeb. Tym tragicznym epilogiem zakończyła się kolejna, ale nie ostatnia wyprawa mająca za cel zdobycie zimą całej Grani Tatr.

Opracował: ALEKSANDER NIESMIAŁEK

FRYZJERZY, CUKIERNICY I OPINIA

DOKOŃCZENIE ze str. 1

hoop" nie wyłączając rektorów wyższych uczelni".

Biedni uczeni przyszłości! Uczyńmy coś dla nich. My ludzie dnia dzisiejszego znamy przynajmniej mechanizm działania miejscowej opinii w sprawach kultury i możemy go, było nie było, przedstawić na użytek potomności.

Już Sokrates mawiał, że łatwiej utrzymać na języku rozżarzony węgiel niż tajemnicę. Mawiał, oczywiście, pod adresem miasta wydzielonego Łódź, gdzie ściany mają uszy, uszy mają oczy, a oczy węch, który przenika najgrubsze mury. Skutkiem tych właściwości oficjalny nurt życia naszego miasta spóźnia się zawsze w stosunku do nieoficjalnego. Zdumiewająca przepuszczalność murów, brak okien i drzwi w mieście sprawiają, że nim prasa, radio czy telewizja otworzą usta, już opinia „gadana" wszystko wcześniej oceni i skomentuje. Zanim się oficjalnie ogłosi, już wcześniej wiadomo, że naczelny redaktor pójdzie w dyrektory, dyrektor w redaktory zwykle, prezes będzie naczelnym, a jeszcze jeden dyrektor jeszcze jednym dyrektorem, tylko gdzie indziej i tak się szczęśliwie odświeżają kadry. Jak bowiem wiadomo, każdy nadaje się na stanowisko mniejszego czy większego wodza kultury pod warunkiem, że tego stanowiska dotąd nie piastował.

Wszystkowiedząca opinia „gadana" przetacza się w takich wypadkach z hukiem poprzez kawiarnie, kluby, lokale związków twórczych, wywraca na nice żywych i umarłych, zabija i pomaga z martwych powstać, rozdziela laury i cięgi a nade wszystko ocenia. Każde wydarzenie — nowa książka, premiera w teatrze, wystawa plastyków, każdy twórca ma na tym targowisku swoich przyjaciół lub wrogów, co prawda nie zawsze szczerych, albowiem interes — jak pisał La Rochefoucauld — przemawia wszystkimi językami i odgrywa wszystkie role, nawet rolę bezinteresowności. Mamy więc tu do czynienia z nie utrwaloną, nie zapisaną opinią, ze swoistą polityką kulturalną, która w bardziej skrajnych wypadkach przypomina małe dziecko, też jest zaopatrzona z jednej strony w krzyk, a z drugiej w brak odpowiedzialności. W przypadkach innych bywa szczerze i słusznie zatroskana o losy kultury w naszym mieście.

Natomiast prasa i inne instytucjonalne organa opinii publicznej, chociaż trafiają się chwalebne wyjątki, przemawia raczej zamkniętymi ustami. Przemawia o tyle, że coś tam notuje, rejestruje, składa wydarzenia kulturalne w kupki, każda sobie. I oto dowiadujemy się, że teatr wystawił sztukę, która była dobra i pożyteczna, grupa artystów wystawiła rewię, która była dobra i pożyteczna, a pisarz wydał książkę, która jest dobra i pożyteczna. Wszystkie fakciki pływają w letniej wodzie, która także jest dobra i pożyteczna. Przemawia zamkniętymi ustami o tyle, że nie wartościuje, nie ocenia, nie chwali i nie odrzuca, lecz pływa w letniej wodzie, która jest... Powiedział Terencjusz — dzisiaj przymilnością zyskuje się przyjaciół, a mówieniem prawdy nienawiść — nie jestem jednak pewien, czy miał na myśli naszą zinstytucjonalizowaną opinię, trudno bowiem brać pod uwagę to, co trudno dostrzec.

Aby zaspokoić zupełnie naturalną ciekawość pomówmy jeszcze o tym, jakie właściwie zachodzą stosunki pomiędzy obiema opiniami. Dwojakie. Po pierwsze nie zachodzą wcale. Przykłady? Proszę bardzo! Literatów, krytyków i publicystów naszego miasta spotkało upokorzenie, nie przyznano im nagrody. Opinia „gadana"

WŁAMYWACZE czyli OPERA ZA... PÓŁ MILIONA

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

* * *

Wierzcie więc, że z niejakim wzruszeniem brałem do ręki akta sprawy zatytułowane „Włościański i inni, ze wzruszeniem, z jakim bierze się do ręki antyk po dziś dzień czemuś tam służący, z jakim ogląda się samochód sprzed lat kilkudziesięciu dzielnie lawirujący po ulicy, z sentymentem, z jakim zawsze odnajduje się stare kształty, żyjące w dzisiejszej epoce.

Wyobraźcie sobie bandę włamywaczy posługującą się łomem, wynoszącą towary w workach, zbierającą się na melinach i melinującą łup u paserów. Wyobraźcie sobie ich swarliwe kochanki z nie lada jakim temperamentem, scenerię podejrzanych knajpek, ciche kroki w skarpetkach, łomy w łapach... Wszystko trącące jakby „Operą za trzy grosze" albo pamiętnikami „Urke-Nehalnika". Osadźcie to teraz w mieście Łodzi w roku 1958—1959 — a rozgrzeszycie mnie z nikłej sensacyjności tego, co chcę opowiedzieć.

Fachowcy - kryminolodzy zdenerwowaliby się na mnie w tym miejscu, powiadając: „A coś pan myślał, że nie ma zawodowych włamywaczy, tradycjonalnych w folklorze i metodach działań, albo że jest ich mniej niż „nowoczesnych" aferzystów i gangsterów?" Nie wiem — odparłbym. Ważne jest bowiem to, że w świadomości mojej, a zapewne i czytelników takie rzeczy brzmią jak stara, z dawna ograna płyta.

* * *

Jesienią 1957 r. nieznani sprawcy włamali się do magazynu Przedsiębiorstwa Hurtu Artykułami Importowanymi zwanego „Centrogalem" i skradli pokaźne partie torebek damskich, rękawiczek oraz m. in. 8.499 paczek kamieni do zapalniczek. Łączne straty wynikłe z włamania wyniosły 148.120 zł.

Sprawcy dostali się do magazynu przez zakratowane okienko umieszczone 2,5 m. nad ziemią. Wygięli oni kratę, weszli do magazynu i tą samą drogą wynieśli towary.

Milicja zbadawszy teren i doznawszy fiaska przy poszukiwaniu śladów odcisków palców itp. zanotowała jedną rzecz dużej dla dobra śledztwa wagi: w sprzedaży nie znajdowały się jeszcze w ogóle towary tego gatunku, jakie zostały wykradzione. Czyli pojawienie się gdziekolwiek takiego rodzaju torebek lub rękawiczek stanowić będzie doskonały ślad.

Na razie rozpoczęto „penetrację środowiskową". Milicja, zbadawszy technikę przestępstwa zastanawiała się, kto ze znanych jej ludzi świata przestępczego mógłby być w to zamieszany. Przesłuchany zostaje np. niejaki St. K. — ślusarz z zawodu, inwalida trudniący się nielegalnym handlem wszelkiej maści i legalnym handlem owocami na bazarze. St. K. podaje alibi: handlował tego dnia do wieczora na bazarze, potem był u swego kumpla „Mariana" (nazwisko mu nie znane) i pili wódkę, nocował u pewnej prostytutki (adres będzie Wam nie znany) i od rana znów handlował.

Alibi zostaje sprawdzone u owego „Mariana" i prostytutki Otylii M. Wszystko się zgadza.

Milicja przesłuchuje ludzi, którzy widzieli ślady włamania, bądź znajdowali się w pobliżu. Ktoś widział nawet samych włamywaczy, przynajmniej tak mniema, ale było ciemno i nie mógł ich rozpoznać.

Dyskretną obserwacją otacza się pracowników magazynu i ich rodziny.

Raz i drugi wywiadowcy penetrują łódzkie bazary, czy czasem nie pojawiło się na nich cokolwiek ze skradzionych towarów. Wszystko na próżno.

Organa śledcze decydują się na eksperyment. Ma on odpowiedzieć na pytanie, czy w ogóle można było odgiąć kratę na tej wysokości i — co ważniejsze — czy przez istniejący otwór mógł przedostać się człowiek. W tym celu odtwarza się jakby jeszcze raz cała czynność włamania. Eksperyment daje odpowiedź twierdzącą. Można było dokonać tego z zewnątrz.

Na tym sprawa się urywa. Śledztwo zostaje umorzone. Przestępcy zwyciężyli.

* * *

Po kilku miesiącach: wzorcownia CETEBE, Narutowicza 13. Znajdują się tu pojedyncze sztuki towarów będące próbkami artykułów, które bądź chcemy importować, bądź eksportować. Włamania dokonano identyczną techniką co poprzednio. Nasuwa to przypuszczenie, że milicja ma do czynienia z tą samą bandą. Oczywiście jest to dość luźna hipoteza, jako że dostawanie się przez okno po odgięciu kraty, nie zawiera w sobie nic szczególnie specyficznego.

Skradzionych towarów oczywiście znów nie ma w sprzedaży w sklepach. MO odnajduje w magazynie jakieś odciski palców i odcisk obcasa. Okazuje się jednak potem, że są one nierozpoznawalne.

Milicja sporządza listę jedenastu podejrzanych. W mieszkaniach ludzi światka przestępczego przeprowadzone zostają rewizje. Wynik wszystkich rewizji — negatywny.

Następuje żmudne i nie dające efektu przesłuchiwanie ludzi, którzy kręcili się w pobliżu: palaczy pracujących tu w nocy, ślusarzy dokonujących jakiejś reperacji, robotników budowy, stykającej się z wieżowcem CETEBE, nocnych dozorców, strażników ze spółdzielni „Czujność".

Dozorca podaje nazwiska ludzi, którzy się tu w ostatnim czasie kręcili po nocy — jakiś inżynier garażuje tu samochód, pracownicy biur z wieżowca pewnej nocy pili w obrębie kompleksu gmachów wódkę, magazynier przychodził w święta. Okazuje się, że z pobliskiej budowy w nocy dobiega taki hałas, że można było nie słyszeć wyginania krat. Natomiast dozorca miał psy, które na obcych szczekają...

Spis skradzionych artykułów zajmuje 50 arkuszy kancelaryjnych obejmujących 3.117 pozycji. Zatrzymany zostaje jakiś facet podejrzany o dokonanie w magazynie drobnej kradzieży co nie ma jednak żadnego związku z włamaniem. Dochodzenie zostaje zakończone. Włamywacze znów są górą. Ich zysk — blisko ćwierć miliona.

* * *

Po kilku miesiącach milicja zostaje zaalarmowana, iż do sklepu PSS nr 45 dokonane zostało włamanie i skradziono towary na sumę ponad 40 tys. złotych.

Do sklepu przylega ogród. Od strony ogrodu właśnie przebito w murze dziurę, przez którą wyniesiono towary. Mur był półmetrowej grubości.

W ogrodzie znaleziono piłkę metalową, która służyła do wybierania z muru zaprawy i trochę rozsypanych towarów.

Milicja znów celuje na ślepo. Przesłuchiwany jest niejaki Z. W. Następują dalsze przesłuchania. Nic nie wnoszą.

I oto przełom w całej tej sprawie. 1 września 1958 r. Do akt sprawy przybywa lakoniczna notatka, iż tego właśnie dnia milicja otrzymała poufną wiadomość, że włamania do sklepu dopuścili się znani w Łodzi włamywacze recydywiści: Wiktor Włościański, Stanisław Knap i Czesław Jędrzejczak, którzy towary ukryli u paserów Tomasza S. i Ryszarda St. Dalej, że sprawcy wiedzą, że są przez MO intensywnie poszukiwani i u-

(Dokończenie na str. 9)

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego
pod redakcją
HENRYKA ANDERSA

Zarzuca się często sztuce nowoczesnej ubóstwo treści, czy słusznie? Nie zdarzyło się jeszcze, żeby autor jakiegokolwiek dzieła artystycznego potrafił wypowiedzieć swoją ideę bez niedomówień, do końca, postawić wszystkie kropki nad „i". Zawsze zostaje pewien margines, który wypełnić musi fantazja odbiorcy. I chyba tak jest dobrze.

Weźmy typowy obraz realistyczny, tak zwany „z problemem". Chociażby Matejki. Jest noc. Na Wawelu odbywa się bal. O czym myśli Stańczyk — samotny, zadumny i posępny? Powinniśmy wierzyć, że o sprawach wielkiej wagi, o losach narodu i państwa. A może po prostu usunięto go z towarzystwa i biada nad własnym upokorzeniem?

Mówiłem ostatnio o „romantycznym" obrazie Goyi. Z biedą potrafimy odczytać, gdzie się to dzieje i w jakim mniej więcej okresie. Ale bez dokładnej znajomości historii nigdy nie zgadniemy, kim są rozstrzeliwani i za co giną. A zresztą, czy nam to koniecznie potrzebne? Fakt, który wydarzył się tak dawno, osoby, o których nic nie wiemy — nie to nas przecież interesuje w dziele sztuki.

Chodzi nam o zasadę, o ludobójstwo, buntujemy się przeciw przemocy. Obraz Goyi przemawia do nas nie jako ilustracja konkretnego zdarzenia, lecz jako symbol. Symbol ideałów, które uznajemy, które powinniśmy uznawać.

Przyjrzyjmy się teraz obrazowi Picassa. Z jednej

Tadeusz Słupecki

W związku z organizowaną przez „Odgłosy" akcją prezentowania łódzkich satyryków, redakcja zwraca się do Pana z prośbą o łaskawe odpowiedzenie na następujące pytania:

1. Czy bawi Pana Pańska twórczość satyryczna?

Odp.: Kogo może bawić własna twórczość? Z tą bywa podobnie jak z własnym weselem lub pogrzebem. Całą uciechę z niego zostawiamy innym.

2. Czy lubi Pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?

Odp.: Oczywiście psy. Te wprawdzie też gryzą się między sobą, ale gryzą się o kości, nigdy o tzw. „mamonę" lub posady. Dlatego co drugi prawie człowiek na świecie za swego największego przyjaciela uważa właśnie psa.

3. Czy gra Pan w „Kukułeczkę"? A jeśli nie, to w co?

Odp.: „Kukułeczka"? Po co? Aby w Łodzi było o jeszcze jednego „naiwniaka" więcej? Wolę już grywać ze swoimi dziećmi w „Lisa, co chodzi koło drogi i nie ma ręki ani nogi".

4. W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomaga w pracy?

Odp.: Pracuję w warunkach przeciętnej pomocy domowej, tj. w kuchni, z egzotycznym widokiem na zlew. Przeszkadza mi w twórczości konieczność pisania, a pomaga synek, który co rusz szarpie mnie za rękaw i powiada stroskanym głosikiem:

„Tata, czemu ty tak ciągle piszesz i piszesz? Czy nie mógłbyś sobie tego, coś już napisał, choć z raz przeczytać"?

5. Co Pan sądzi o swoich kolegach — satyrykach?

Odp.: Przeważnie to samo, co oni o mnie.

6. Czy „Odgłosy" Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?

Odp.: Oczywiście! Bawią mnie w „Odgłosach" artykuły poważne, podtrzymują na duchu konkursy z nagrodami, a poucza „Sennik egipski". Dzięki niemu już wkrótce będę mógł zająć się pokątnym wróżbiarstwem i tłumaczeniem snów, co umożliwi mi porzucenie twórczości satyrycznej, a rodzinie mej zapewni jasną i skąpaną w dobrobycie przyszłość.

aż huczy, w prasie i radio bulgocze letnią woda. W środowiskach plastycznych mówi się, że pomnik Kościuszki to nie arcydzieło. Tak, czy siak, sprawa wymaga poważnej dyskusji, chodzi przecież bodaj o jedyny pomnik w Łodzi, a w prasie bulgocze letnia woda. We wszystkich środowiskach twórczych odżywają niepokoje, obawy, a nawet strach — jaka ma być ta nowa polityka kulturalna? Nie daj zły losie — powrót nowego do starego? Bulgocze letnia woda.

Po drugie zachodzą tu stosunki cukierniczo-fryzjerskie. Kiedy szczera troska, sąd ostry ale słuszny, próbuje ujrzeć światło dzienne chce czy nie chce wstępuje często do cukierników. Cukiernicy to są ludzie potężni, otoczeni własną klientelą a nade wszystko nieprzemakalni na jakąkolwiek krytykę, wyjąwszy krytykę bliźniego. Dotkniesz — podniosą krzyk w imieniu pokoleń. Tępisz mnie? Już ja pana szanownego załatwię! Straszną płacimy cenę naskutek działalności cukierników. Nie mamy żadnej istotniejszej oceny łódzkiej twórczości w dziedzinie kultury, żadnej istotniejszej dyskusji na ten temat. Nie doceniamy cichego wysiłku twórczego, nie kłócimy się o wartości sporne, a i grafomanów nie nazywamy po imieniu.

Wyobraźmy sobie jednak, że ów sąd, osłodzony, lepki od cukru, idzie, mimo wszystko dalej. Trafia na fryzjerów. To są ludzie łagodni, dobroduszni, ulizani, z przedziałkiem pośrodku. Ten właśnie środek ukochali, złoty środek. Wszyscy są pożyteczni, dobrzy, do czegoś się nadają, czemuś służą, nie łamać ludzi panowie, głaskać, lizać, przyczesywać, perfumować. Jest u nas wolność czy nie ma?

Ucukrowany i ufryzowany sąd spogląda następnie w lustro i ani rusz poznać się nie może. To nie ja! — krzyczy. Oby ten krzyk usłyszeli wszyscy, którzy zabierają głos w sprawach kultury. I oni przecież zaglądają w lustro. Czyją zobaczą twarz? Swoją, czy wypożyczoną od fryzjerów i cukierników?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI.

F. Goya, Rozstrzelanie

strony zmechanizowane potwory — niby ludzie, niby roboty, z drugiej — kobiety i dzieci wystawione na cel, bezbronne, niczym nie osłonięte. Gdzie się to dzieje, w jakiej rzeczywistości historycznej? Na Korei? A może zawsze i wszędzie?

Goya stworzył symbol niejako mimo woli, Picasso z pełną świadomością podjął problem odwieczny. Dobro i zło, światłość i ciemność, bezsilna rozpacz i potęga mocy piekielnych. A jednocześnie...

Wiek dwudziesty, wiek w którym umiejętność współżycia pomiędzy ludźmi tak bardzo nie nadąża za szalonym rozwojem techniki...

Czy nie wystarczy tematu do rozmyślań?

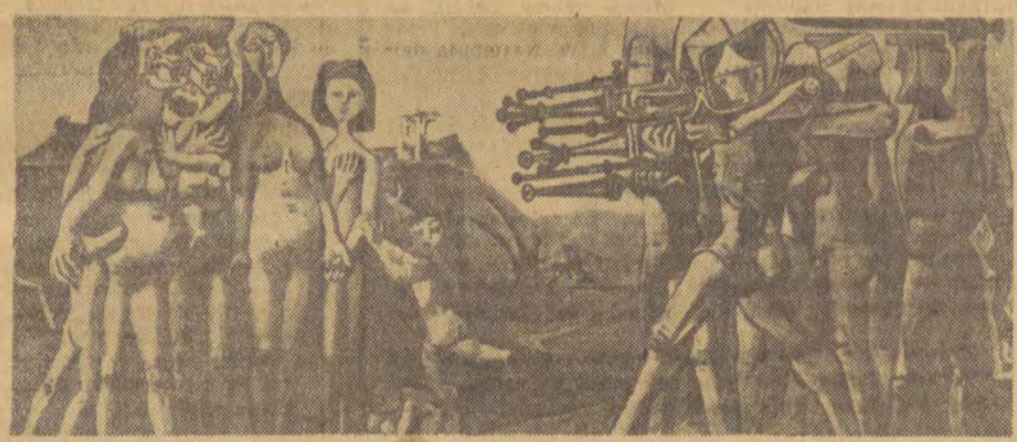

Pablo Picasso. Masakra na Korei. Olej.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

POEZJA WZRUSZEŃ PIERWSZYCH

Wydawnictwo Łódzkie podjęło się misji trudnej i nie zawsze wdzięcznej. Misja ta to przygarnięcie wszystkich poetów w Łodzi mieszkających czy też z Łodzią związanych. Jeśli ktoś ma niewielką sumę wierszy, jeśli lira jego dźwięczy mi-

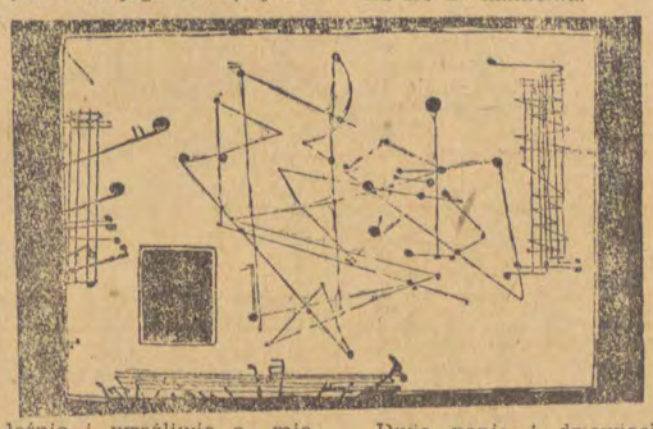

łośnie i wrażliwie o „mieście kominów", niech śpieszy do Wydawnictwa Łódzkiego, a będzie wydany. Wydawnictwo Łódzkie chce uprawomocnić zasadę: prawo serii obowiązuje. Oto i druga seria poetycka *), kontynuacja, uwieńczenie trudu jedenastu poetów — słowem ładnie wydanych jedenaście tomików poetyckich. Wszystkie kolorowe, w cacanych czasem, wymyślnych okładkach, na których i zły smak secesji daje o sobie znać raz jeden.

Kiedy się czyta pojedyńcze liryczne zbiory, uderza nieproporcjonalność poszczególnych dokonań twórczych. Nie ośmielam się poprzez wyliczanie nazwisk wskazywać, kto powinien, a kto nie powinien dostąpić zaszczytu druku. Zresztą, jak wskazuje właśnie praktyka Wydawnictwa Łódzkiego w sprawach poezji, kryteria to rzecz względna, kształtują się one czasem na użytek chwili i sytuacji, w kręgu kawiarni, przyjacielskich objęć i poklepywań po ramieniu. Poeci przecież rzadko rodza się na kamieniu.

Dwie panie i dziewięciu panów przedkładają nam swój trud poetycki. Wśród panów jest także i debiutant, Bernard Sztajnert. Skłonny jestem twierdzić, że w jego osobie przybył Łodzi poeta interesujący, o ciekawej wyobraźni i prawie ukształtowanym już poetyckim obliczu. Do interesujących debiutów serii zeszłorocznej (Z. Kosiński, M. Ochocki, J. M. Rymkiewicz) dołącza się więc i „Chwila ahistoryczna" Sztajnerta. Kilka słów o tym debiucie: Sztajnerta inspiruje pesymizm i rezygnacja. Jest to poezja smutna poprzez specjalne ukształtowanie frazy i rytmiki oraz nagromadzenie rekwizytów specjalnego typu, rekwizytów przede wszystkim szarej codzienności. Jest przy tym Sztajnert poetą refleksji, dla wyrażenia której angażuje formę stroficzną.

„Chwila ahistoryczna" ma przecież swoje mocne historyczne uwarunkowania — tragedia okupacyjna dźwięczy w tomie Sztajnerta nutą wyjątkowo mocną. Uderza jednak pewna nieśmiałość w budowaniu odważniejszych poetyckich roz wiązań. Stąd niekonkretna metafora typu: „A płoza płacze jak Corelli i śpiewa jak Sebastian Bach" — jest czymś wyjątkowym w tomie w gruncie rzeczy bardzo konkretnej poezji Sztajnerta. Temu poecie patronuje więc bardziej, i przede wszystkim Skamander, aniżeli Awanagarda.

„Ognie" — ostatni tom M. Piechala wzbogacają twórczo dorobek autora „Elegii całopalnych". Jest w ostatnim tomie Piechala starcie ze współczesnością, starcie jakże bolesne, za które trzeba płacić „jawnym szyderstwem z prawdy", lub „napojem z cykuty" („Morał"). W znacznej sumie wierszy Piechal potrafił zaangażować swój warsztat poetycki na usługi ironii i stworzyć lirykę o charakterze drwiącym, czasem nawet bardzo złośliwym. „Elementy" stanowią jakieś novum w poezji Piechala, który zapisując w tytule jednego ze swych wierszy równanie Einsteina, udowodnił, że jest poetą wrażliwym i czujnym.

Grzechem głównym kilku pozostałych poetów z grupy jedenastu jest jakaś wyjątkowa niechęć czy wręcz nieudolność (potomność to być może stwierdzi) do śmielszych poczynań wyobraźni czy intelektu w obrębie własnego świata uczuć. Ten świat uczuć jest jednak zbyt, wybaczcie słowo, nieskomplikowany, aby mógł być fundamentem ciekawszych osiągnięć lirycznych. Nikomu z nas nie wolno wątpić o miłości do żony, którą wprost wyraża szczery poeta, nikt z nas nie będzie się oburzał na urbanistyczne rojenia i snucie jasnych perspektyw a propos architektury i kanalizacji Łodzi miasta; jeżeli jednak te wszystkie uczucia i stwierdzenia istnieją same dla siebie, a ponadto wyrażone są w formie oklepanej i do granic nudy nadużytej, wtedy trudno mówić o prawdziwej poezji.

Podróż na „Itakę" Tadeusza Chróścielewskiego nie przynosi nam pełnego zado-

wolenia. Główny zarzut, jaki należy postawić poecie to dosłowność relacji: „Gdy wyjeżdżasz na wczasy, szybko sprzątam nie zabrane czepki i rajtuzy, kładę na stół biały obrus..." Stąd krok tylko do reportażu. A przecież są i godne pochwały u Chróścielewskiego wiersze, które znamionują na pewno ciekawe widzenie świata.

Dla St. Czernika i J. Koprowskiego należy mieć podziw za wierność obranej drodze poetyckiej. Czernik, rodzic autentyzmu, autentyzmowi pozostaje do końca wierny. W „Starym pługu" jest jakaś specyficzna egzotyka niby prasłowiańskiej,

(Dokończenie na str. 9)

FRASZKI

O DAMSKIM KRAWCU

Patrząc na kształty ładnej klientki
raz młody krawiec wzdychał markotnie:
„Ach, czemuż krawcy muszą ubierać,
nawet gdy pragną czynić odwrotnie!"

WOJUJĄCYM DEWOTKOM

I najsroższa dewotka pragnie w głębi ducha
choćby z ateistą niekiedy pogruchać...

ZMARTWIENIE AFERZYSTY

Pytano w celi gościa, który „wpadł" niedawno,
co mu dziś za kratkami przyczynia zmartwienia.
„A to, że mi inni pół Polski rozkradną
zanim mnie się uda wyjść znowu z więzienia!"

POKAZ

Nawet myszom w księżym śpichrzu nie żyło się tak, jak strażakom w Stróżynowie. Bo jeśli schodzili się do remizy, to tylko aby podąć w puzony lub polewać z sikawki siostry swych kolegów. Cóż jednak innego mogli czynić ludzie ze strażacką fantazją? Zwłaszcza w okolicy, gdzie od lat dziesięciu nie było pożaru najnędzniejszego bodaj kurnika?

Lecz kiedy komendant w porywie galanterii dla owych sióstr wykreślił ze strażackiego regulaminu punkt o obowiązku napełniania beczkowozu wodą — życie w Stróżynowie straciło wszelki urok. Nie dziw więc, że sam komendant Kupidura ujrzał w nadchodzącym Tygodniu Straży Pożarnej jedyną szansę przerwania nudy. No i zarazem okazję do zdobycia ogólnokrajowych wawrzynów.

— Słyszycie, kolego Wąsik, co piszą w gazetach? — grzmiał przez chruściany płotek do swego sąsiada i zastępcy. — W stolicy szykują pokaz skoków na płachtę! Z czteropiętrowej wieży!

— Ano, wola boska i klarnet! — orzekł sąsiad, grywający całe dnie na tym właśnie instrumencie. — Wróbel nie kobyła, Stróżynów nie Warszawa...

— I to ma być mój zastępca? — trząsł płotkiem komendant. — Z taką kołowacizną we łbie? Gdy nawet wróble na dachu ćwierkają, że nie ma już u nas podziału na stolicę i prowincję?

— Ale że czteropiętrowych wież po miasteczkach jeszcze nie ma, też chyba ćwierkają? — przypominał zastępca, zabierając się do gry na klarnecie.

Gdy jednak zdawało się już, że Tydzień Strażaka w Stróżynowie trzeba będzie uświetnić jedynie przez siedem defilad i czternaście akademii — komendant wyczytał, że strażacy Łodzi szykują pokaz akcji ratunkowej. Z użyciem, w miejsce ognia, sztucznego dymu.

— To my — ucieszył się Kupidura — pokażemy krajowi coś lepszego! Pokażemy jak się gasi prawdziwy pożar!

* * *

Przed rozpoczęciem akcji, Kupidura raz jeszcze zlustrował okolicę.

Obiekt pokazu — na wpół rozwalony chlewik — leżał w samym środku miasteczka. Nie rościłyby do niego pretensji nawet najmniej wybredne świnie. A przy tym był suchy jak wiór! Wymarzony żer dla prawdziwego pożaru. Dalej zielenił się świeżą farbą beczkowóz do wody, połyskiwał wypucowany sprzęt. Z lewej strony chlewka prężyła się, z toporkami, pierwsza sekcja. Z prawej — taszcząc bęben i puzony — druga. Na jej czele, z klarnetem, ledwo widoczny spod strażackiego hełmu — zastępca Wąsik. Dookoła—tłum gapiów.

— Zaczynać! — krzyknął do drugiej sekcji komendant.

Zaczęli. Tak, że w czasach biblijnych runęłyby nie tylko mury Jerycha, ale i wszystkie sąsiednie miasta. Że jednak rzecz działa się w XX wieku, chlewik wytrzymał napór strażackich trąb Więc go podpalili, z niezwykłą sprawnością.

— A może by już gasić? — zaszeptał po kilku minutach w byczy kark Kupidury zastępca.

— Co gasić? Ten pastuszy ogienek? — komendant takim wzrokiem zmierzył ostrożnisia, że ten na dobre znikł pod swoim hełmem. Ukazał się dopiero po kwadransie, kiedy trąby ryknęły ponownie lecz jakoś żałośniej — a pierwsza sekcja gnała na łeb i szyję do sypiącego skrami chlewu. Wąsik zdecydował już zatknąć klarnet za pas i skoczyć także, gdy wstrzymał go straszny głos komendanta:

— O rany, beczkowóz pusty! Nie cofnąłem zakazu używania wody!!!

Pomimo tego, pokaz gaszenia prawdziwego pożaru przyniósł komendantowi Kupidurze i jego strażakom rozgłos naprawdę niebywały.

Bo oprócz spróchniałego chlewka spaliło się przy tej okazji jeszcze trzydzieści chałup.

EDWARD EMSKI

Pustynne szczury

Czyż w końcu to, co robi on — beznadziejne wystawanie godzinami na wieżyczce — jest lepsze? Kufel piwa wieczorem, z kolegami, przy którym nie można nawet swobodnie porozmawiać, bo feldfebel ma go na oku i ten drań Kurt zawsze kręci się w pobliżu i podsłuchuje — to cały urok życia. Przeklęta dziura ten Tobruk. W Europie było inaczej. Tam zawsze znalazła się jakaś dziewczynka... Tu ludność zaraz z początkiem wojny została ewakuowana, pustynia czy miasto — wszystko jedno, kobiety ani na lekarstwo. Właściwie, jeńcy mają nawet lepiej od niego. Wprawdzie żarcie dostają skąpe, ale przychodzą paczki, nie jest znów tak źle. I mają spokój. Kiedyś wojna musi się skończyć i wrócą do domu, żywi i cali. A on każdej chwili może znów dostać przydział do oddziału liniowego. Nie ufają mu wprawdzie i dlatego zabrali go z linii, ale niemało kosztowało, żeby trafić do kompanii wartowniczej, a nie do oddziału karnego. Front! Wzdrygnął się.

Nie! Byle nie z powrotem na front! Już lepiej tkwić tu na tej wieżyczce do końca wojny. A swoją drogą cholerne to życie i ta cała wojna i w ogóle... Co też tam słychać w domu? Już dawno nie miał listu, pewnie Liza znalazła sobie jakiegoś gacha, żeby tylko po powrocie nie zastać w domu bękarta... Gach gachem, trudno wymagać, żeby kobieta tak długo... Zdjęła go nagła złość. Dlaczego trudno wymagać? On tu naraża życie dla Vaterlandu, to i ona mogłaby trochę pocierpieć. A naloty? Mówili ostatnio, że Anglicy na dobre rozpoczęli bombardowanie miast niemieckich. Może Liza nie żyje? Ich schludne, małe mieszkanko w gruzach. Do czego wróci?... Od dawna już należy mu się urlop, widoki wprawdzie są małe, ale może jednak? Musi jakoś udobruchać feldfebla, ale jak? O czym ci dwaj przy drutach gadają? Pewnie o babach, tak jakby nie było na świecie ważniejszych rzeczy. Właściwie przy drutach stać im nie wolno, to jest verboten, trzeba by krzyknąć, ale to wymaga wysiłku, a jest tak cholernie gorąco. Kufelek piwa, z lodu, z pianą, która przelewa się, spływa na kartonową podkładkę, na marmurowy blat stolika. Tak, jak wtedy, kiedy poznał Lizę. Tańczyła z tym bubkiem, ale do niego robiła oczy, Liza to też dobre ziółeczko. W ogóle wszystkie kobiety to dziewki. Cholera, idzie feldfebel, he, da unten, weg, weg! Verflucht, ich werde schiessen, weg!

Dwaj Anglicy powoli odchodzą od drutów, kierują się do namiotów. W obozie panuje zwykły o tej porze ruch, jeńcy krążą między namiotami, rozmawiają. Strażnik na wieżyczce, nawet gdyby nie był myślami bardzo daleko, nie zauważyłby nic niezwykłego. A jednak z ust do ust płynie cichy szept: dziś w nocy, dziś w nocy, dziś w nocy...

★

Wielbłądy bezgłośnie stąpają po piasku. Słychać tylko skrzyp siodeł jucznych. Zwierzęta kroczą lekko, siodła są puste. Jeszcze niedawno zawierały cenny ładunek — bańki z benzyną i wodą, skrzynki z żywnością. Teraz ładunek spoczywa bezpiecznie w wyschniętej cysternie, pozostałości z czasów panowania rzymskiego. Jest dobrze ukryty. Nikt niepowołany go nie znajdzie, nawet jeśli przypadkiem natknie się na cysternę. Jeszcze jeden punkt zaopatrzeniowy L.R.D.G. powstał w pustyni.

Arab kroczący na czele karawany daje znak, karawana zatrzymuje się, zwierzęta klękają, kładą się. Teraz dopiero towarzyszący karawanie Anglicy słyszą, dobiegający z oddali cichy warkot silnika samolotu, który po chwili milknie zupełnie. Samolot przeleciał bokiem. Ale nawet gdyby leciał tuż nad karawaną, obserwator nie zauważyłby jej. Zwierzeta koloru piasku zlały się w jedno z pustynią. Z samolotu widać przede wszystkim ruch i cień. Ani jednego, ani drugiego nie ma.

Karawana wykorzystuje przymusowy postój na odpoczynek. Jeden z Arabów wyciągnął garnczek wielkości pięści, napełnił go do jednej czwartej herbatą, nalał do pełna wody i postawił na małym ogniu, który tymczasem rozpalił drugi Arab. Gdy woda się ugotowała, porozlewał herbatę do małych szklaneczek wielkości kieliszków do wódki, potem wlał ją z powrotem do garnczka i znów postawił na ogniu. Operację tę powtarzał jeszcze dwukrotnie. Następnie pociągnął łyk z jednej ze szklaneczek, cmoknął i znów wylał zawartość wszystkich szklanek do garnczka. Gdy herbata raz jeszcze się zagotowała, porozlewał ją ponownie — był to teraz ciemnobrązowy, pienisty nawar — i porozdawał szklaneczki. Teraz wsypał do garnczka garść cukru, nalał wody i znów wielokrotnie gotował. Po rozlaniu drugiej kolejki ponownie nasypał cukru, napełnił garnczek miętą, nalał wody i gotował trzykrotnie. Ta trzecia i ostatnia kolejka zamykała obrządek picia herbaty „po arabsku".

— To zabawne — mówi Anglik do swego kolegi — ten napój nie ma przecież nic wspólnego z hertatą na nasz sposób, a tak się do niego przyzwyczaiłem, że stał się nałogiem gorszym od papierosów. Nie potrafię nawet określić jego smaku.

— To świetny napój. Usuwa zmęczenie, rozjaśnia umysł. I dla mnie stał się on nałogiem.

Wielbłądy podnoszą się śmiesznym, charakterystycznym ruchem. Karawana znów rusza. Na południe.

★

— Czego pan chce?

— Niech pan raczej zapyta, czego nie chcę. Nie chcę, by pan wrócił do Dowództwa. Nie, nie jest aż tak źle. Jutro wieczorem może się pan tam śmiało zameldować. Właściwie dziś, bo jest już przecież po północy. Ale dopiero wieczorem.

— Chce pan mnie tu zatrzymać?

— Prawdę mówiąc wcale nie chcę. Niestety muszę.

— To niech pan strzela.

— To byłaby smutna ostateczność. Jestem oficerem, tak jak i pan, i proponuję: oficerskie słowo honoru, że zostanie pan tu do wieczora i nie porozumie się żadną drogą z nikim. (D. c. n.)

LEOPOLD BECK

Madame Sans Gêne

Słowo „rekin" oznacza w gwarze teatralnej człowieka, który nie płacąc ani grosza, przychodzi na premierę, by się nacieszyć klęską sztuki, teatru i artystów. „Rekin" jest dobrze przygotowany, bo wie o tysiącach zakulisowych spraw, wróżących nieuniknioną katastrofę spektaklu. „Rekinów" cieszy jedynie klapa, nigdy zaś — udana premiera. Zawsze wybierają się na pogrzeb i są zaskoczeni, gdy zamiast na nim — znaleźli się na pysznej zabawie... W tym wypadku w Teatrze 7.15 na komedii muzycznej pt. „Madame Sans Gêne". Wiecie, to jest ta praczka z niewyparzoną buzią, która staje się księżną Gdańską, z łaski Napoleona.

Dopiero tym spektaklem określił Teatr 7.15 swoją pozycję w Łodzi, dotąd niewyraźną pod względem repertuarowym. Jako, że miał to być teatr rozrywkowy, a pod poprzednim kierownictwem wychodziły tam (wybacz, rodaku Liliomie!) raczej smutne spektakle. Wróżba dla przyszłości, zawarta w „Madame Sans Gêne" jest optymistyczna: Sykała chce nadać małej scenie rozrywkowej wielki rozmach artystyczny. Chociaż...

Chociaż na początku pierwszego aktu „rekiny" się cieszą, gdy słyszą śpiew trzech praczek (bo TE praczki nie powinny pod żadnym pozorem śpiewać!), chociaż dalszy ciąg I aktu nie bardzo jeszcze o tym świadczy, że gramy tekst Minkiewicza — Marianowicza w inscenizacji i reżyserii Sykały...

Ale widowisko „narasta" jak mówią spece, czyli się rozwija, stając się coraz zabawniejsze. I dochodzi do szczytu w parodii opery (inny sprawozdawca znajdzie może inne szczyty, co będzie tylko świadczyło o bogactwie przedstawienia).

Mówmy więc i bez nawiasu sloganami: reżyseria Sykały obfituje w takie bogactwo dowcipnych pomysłów, że wystarczyłoby ono innemu reżyserowi na cały sezon (i nie byłby ten inny potem zmuszony przejść do pracy w innej dziedzinie gospodarki narodowej). Nie chodzi tylko o „gagi" w drugiej części, ale o całą jej koncepcję, wydobywającą wszystkie możliwości zabawy i śmiechu, które dają Sardou — Minkiewicz — Marianowicz. Pomysłowość i dowcip wykazał również choreograf Józef Matuszewski w układzie ruchów. Wolno mi więc powiedzieć, iż lekkość przedstawienia jest w znacznej mierze także jego zasługą.

Jerzy Szeski, znany wielowarsztatowiec, ale z prawdziwą pasją scenograficzną, rozwiązał nierozwiązalne zadanie: stworzenie wnętrza pałacu na przestrzeni, wystarczającej najwyżej na kawalerkę w nowym łódzkim budownictwie. I stworzył. Pocieszający widok.

Praczka z niewyparzoną buzią, „Madame Sans Gêne" — to rola nad rolami. Bo ja wiem, czy teatrolodzy doliczą się jeszcze dziesięciu tak efektownych ról w tym fachu? Więc zadanie nie byle jakie. I nie byle jak podołała mu Ewa Zdzieszyńska. Nie wybrała stylu „pyskówki", jak to uczyniła pewna znana aktorka, którą widziałem kiedyś (z ostrożnością dodaję, że ...naście lat temu). Zdzieszyńska gra praczkę, która mogłaby z powodzeniem udawać księżną, ale praczka w głębi swej duszy nie chce udawać. Aktorstwo z głową i kunsztem.

Tyle słów uznania, co Zdzieszyńskiej, należy się co najmniej jeszcze kilku aktorom: Tadeuszowi Schmidtowi za sierżanta, awansującego w służbie Napoleona do godności marszałka. Trudna to rola, bo tekst jej tok wydarzeń tylko podtrzymuje, a nie rozwija. Kto wie, czy jakiś inny aktor byłby w tej roli tak wiarygodny i — w konwencji komediowej — tak prawdziwy jak Schmidt.

Napoleon St. M. Kamińskiego jest niewątpliwie jedną z atrakcji aktorskich przedstawienia. Nie brak innych. Oto Fouché Włodzimierza Kwaskowskiego — niespodziewanie sympatyczny, jakim Fouché z reguły nie powinien być (toż to szwarc-charakter!), ale jakim on być musi, jeśli go gra Kwaskowski w tej sztuce i w tej reżyserii. W korowodzie wielce zabawnych postaci tej wielkiej zabawy cieszą nas groteskowe siostry Napoleona (Jadwiga Andrzejewska i Irena Burawska) oraz lokaj — (Tadeusz Sabara) bardziej arystokratyczny niż najprawdziwsza arystokracja, a nie tylko sierżantowo-praczkowa, napoleońska. Kropka.

Byłbym złym prorokiem, gdybym nie otrzymał w przyszłości zaproszenia na setne przedstawienie tej sztuki. Bo proroctwo to moja specjalność, szczególnie w tak pewnych przypadkach, jak

„Madame Sans Gene" według sztuki Wiktoryna Sardou, pióra Janusza Minkiewicza i Antoniego Marianowicza; z muzyką Stefana Kisielewskiego, inscenizacja i reżyseria: Roman Sykała, choreografia: Józef Matuszewski, scenografia i kostiumy: Jerzy Szeski.

ROZSTRZYGNIĘCIE
konkursu świątecznego

W wyniku losowania nagród konkursu świątecznego — oprawione, kolorowe reprodukcje grafiki amerykańskiej — otrzymują:

Jan Kozłowski — Łódź, ul. Więckowskiego 142.

Stanisław Gadułka — Łódź, ul. Błękitna 5.

Wanda Bednarska — Łódź, ul. Wierzbowa 19.

Jerzy Cydorowicz — Pabianice, ul. Warszawska 43

Jerzy Celiński — Łódź, ul. Piotrkowska 82.

Ewa Gadzińska — Łódź, Zgierska 22.

Eugeniusz Mariański — Łódź, ul. Wojska Polskiego 72.

Konstanty Kaźmierski — Zgierz, ul. Ciosnowska 73.

Alicja Przytocka — Łódź, ul. Próchnika 18-20.

Tadeusz Stanisławski — Tomaszów Maz. ul. Polna 3.

Nagrody będą do odebrania w sekretariacie Redakcji „Odgłosów" od dnia 10 lutego br.

POEZJA WZRUSZEŃ PIERWSZYCH

(Dokończenie ze str. 7)

pogańskiej dzikości i zapachu ziemi. Ale też ta poezja dla wielu czytelników nie dostarczy estetycznego zadowolenia. Autentystę trzeba najpierw zrozumieć, a potem usprawiedliwić.

J. Koprowski zapewne także powodowany chęcią szczerej wypowiedzi poetyckiej, pokazuje nam, jak autentyzm, ta niezbyt dzisiaj już popularna postawa poetycka, ściera się z kulturą literacką i historią. U Koprowskiego właśnie kultura literacka w połączeniu ze szczerym wzruszeniem stanowi o ładności jego wierszy. One będą chętnie czytane, są jasne, zrozumiałe.

Tomiki p. p. J. Sztaudyngera, Z. Sierp-Szczakowskiego i L. Świeżawskiego, mimo takie czy inne między nimi różnice, wkładam do jednego worka. Świetny fraszkopis i tłumacz „Księcia Homburgu" H. von Kleista daje czytelnikowi tom, który musi, niestety, mimo chyba poważnych intencji autora, wywołać u czytelnika efekty humorystyczne. Nie dotyczy to wszystkich wierszy oczywiście, dotyczy w każdym razie cyklu łódzkiego. U L. Świeżawskiego środowisko kresowe z jego specjalnymi realiami determinuje formę wierszy z „Sosny Grotgera i jesieni". Jest tu też mowa o jesieni, Tatarach, sosnach, nenufarach i bocianach. W tej scenerii elementy smutku i powrotu mają stworzyć specjalny nastrój. Wszystko niestety znów podporządkowane prostej relacji reportażowej. Uwaga dla Wydawnictwa: Kreśląc informację o autorze należałoby sprawdzić autorstwo „Drewniaczka" i „Trzech pomarańczy".

„W tamtych oczach" — Z. Sierpa-Szczakowskiego, tom powstały z ducha autentyzmu, nie przynosi żadnych rewelacji lirycznych. Jest to właściwie debiut niemłodego już poety i jako taki znamionuje pewne możliwości autora. Trudno na podstawie jednego tomu wydać jakiś wiążący sąd o poezji Szczakowskiego.

G. Timofiejew w „Goryczy wierzbiny" wraca znów do liryki osobistej, wyrażając prośbę, aby czytelnik pozwolił mu jeszcze raz „szukać, wierzyć, wątpić i błądzić". Trudno odpowiedzieć na pytanie wyrazem której z tych czynności jest ostatni tomik Timofiejewa.

W każdym razie nie jest poszukiwaniem. Wśród kilkunastu liryków zdarza się znaleźć i parafrazę z Majakowskiego (Timofiejew: Kocham ciebie jak weteran swą drewnianą nogę — str. 22. Majakowski: ljubit kaku sołdat... bierieżet swoju jedinstwiennuju nogu — „Obłok w spodniach"). Zdarza się znaleźć nieprzekonywającą precyzję w słownictwie: „I dyszę głębinowy na zmiętej pościeli". W sumie tom ten nie jest podwyższeniem lotu.

I wreszcie zostały panie: W. Karczewska i A. Pogonowska. Autorka „Głuchej ziemi" jest zapewne z temperamentu bardziej prozaikiem aniżeli poetą. Ostatni tom Karczewskiej, powstały w klimacie rozczarowań i atomowego lęku jest dosyć nierówny. Wiersze zbudowane na zasadzie wyliczania, wiersze—protesty, wiersze—ostrzeżenia sąsiadują z bardziej destylowaną formą poetycką. W sumie jest to protest kobiety humanisty, która chce ocalić świat przed katastrofą wojny, kłamstwa, obłudy, cwaniactwa itd.

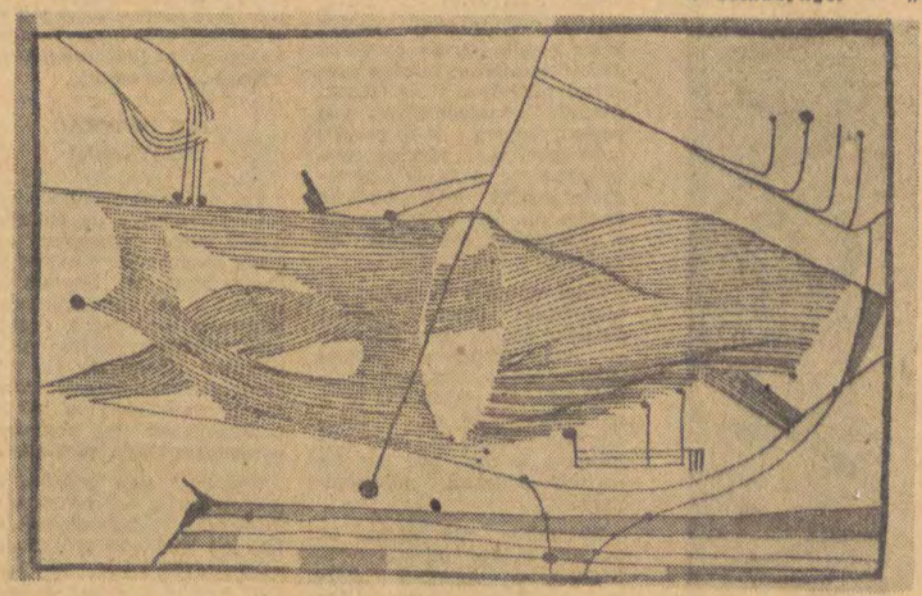

A. Pogonowska w „Urzeczywistnianiu" potwierdza wyjątkowość swojej wyobraźni. Ta poetka jest z pewnością bardzo ciekawym zjawiskiem w naszej współczesnej liryce. Ostatni tom ustępuje „Kręgom", jest jednakże udaną kontynuacją poezji bardzo konkretnej, w której świat rzeczy i zjawisk bywa atomizowany poprzez introspekcję poetki. Gdzie są granice tej poezji? Czy ewentualne obniżenie rangi poetyckiej autorki „Urzeczywistniania" nie tkwi w kompromisie wizji na rzecz pozornie poetyzowanej rzeczywistości zwykłych zdarzeń („Bała się poruszyć, roześmiać odczarowana ze swego ciała").

Po dokonaniu tego pobieżnego przeglądu skłonny jestem twierdzić, że serie następne pięknego i w gruncie rzeczy bardzo cennego przedsięwzięcia Wydawnictwa Łódzkiego winny być staranniej redagowane, a także znacznie uszczuplane. To uszczuplanie nie może być oczywiście czynnością mechaniczną. Konieczne jest ustalenie kryteriów, które nie ułatwiałaby „drogi poetyckiej" potencjalnym i aktualnym grafomanom. W przeciwnym razie wydanie znacznej sumy tomików w jednej serii równać się będzie obniżeniu poziomu ogólnego.

W. KRYSIŃSKI

*) Wydawnictwo Łódzkie 1958

T. Chróścielewski — „Itaka" — oprac. graf. Teresa Tyszkiewiczowa.

St. Czernik — „Stary pług" — oprac. graf. — Leon Gomolicki.

W. Karczewska — „Głucha ziemia" — oprac. graf. — Zdzisław Głowacki.

J. Koprowski — „W tym kraju" — oprac. graf. — Eugeniusz Pisarek.

M. Piechal — „Ognie" — oprac. graf. Leszek Rózga.

A. Pogonowska — „Urzeczywistnianie" — oprac. graf. Henri Poulain.

Z. Sierp-Szczakowski — „W tamtych oczach" — oprac. graf. Albin Łubniewicz.

J. Sztaudynger — „Puch cstu" — oprac. graf. Stefan Wegner.

B. Sztajnert — „Chwila ahistoryczna" — oprac. graf. Jerzy Nowosielski.

L. Świeżawski — „Sosna Grottgera i jesień" — oprac. graf. Lena Wegner.

G. Timofiejew — „Gorycz wierzbiny" — oprac. graf. Czesław Sadowski.

WŁAMYWACZE czyli OPERA ZA... PÓŁ MILIONA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

krywają się u jednego z wymienionych paserów.

Tu należy się czytelnikowi małe wyjaśnienie dotyczące milicyjnych „informacji poufnych".

Każda na świecie policja kryminalna przede wszystkim stara się o jak najintensywniejszą infiltrację w światek przestępczy, jak największą wiedzę o ludziach z tego światka, ich poczynaniach, charakterach, sympatiach, antypatiach itp. o wszystkim co się dzieje. To „siedzenie w środowisku" ważniejsze jest od wszystkich nowoczesnych metod laboratoryjnych, technicznych, od wszystkich innych działań i „sposobów" stosowanych przez milicję. Im lepsza jest ta infiltracja w środowisko przestępcze, tym lepiej służba kryminalna działa.

Skąd i od kogo, tudzież dlaczego napłynęła wspomniana „poufna informacja" — tego oczywiście nie wiadomo. Tego typu sprawy są na ogół ściśle chronioną tajemnicą, zachowywaną w bardzo wąskim kręgu ludzi, pracujących w odpowiedniej komórce. MO nie wie o tym, (zresztą nie potrzebuje wiedzieć), a nawet prokurator. I ten nadzorujący milicyjne dochodzenie i ten później sprawę prowadzący.

Informacja taka mogła nadejść bądź bezpośrednio od pracownika milicji, jednego z tych, chodzących zawsze po cywilnemu i ściśle konspirującego swoje miejsce pracy, przebywającego w środowisku przestępczym, mającego tam rozległe znajomości itp. Bądź od kogoś, będącego autentycznie członkiem świadka przestępczego Taki ktoś ma zazwyczaj coś niecoś na sumieniu, a milicja o tym czymś nieczymś wie i w zamian za tego typu drobne usługi, nie nęka małego, a „sypiącego" przestępcy, by móc łowić wielkich. Wreszcie funkcjonariusze MO skorzystać mogli z czyjejś nienawiści do któregoś ze sprawców przestępstwa. Donos mógł napłynąć od oszukanego wspólnika, zdradzonej kochanki, członka bandy konkurencyjnej itp. Jak było tym razem, nie wiadomo. Przynajmniej mnie nie wiadomo.

Faktem jest, że środowisko przestępcze wie dobrze o poszczególnych sprawach swoich członków. Swoista psychologia i socjologia przestępstwa uczy, że przestępca musi mieć „publiczność" dla swoich poczynań. Istotnym elementem zysku jest sława i pozycja w swoim światku.

Oczywiście tego rodzaju „poufna wiadomość" nie stanowi żadnego dowodu ani dla milicji, ani później na procesie. Informator nie świadczy w sprawie, nie rozmawia z prokuratorem. Donos to tylko ślad, od którego rozpoczyna się właściwe gromadzenie dowodów.

Systemy penetracyjne między innymi powodują powstawanie samoobrony środowiska przestępczego. Dintojry wydają kary na „kapusiów", wykształcany jest specyficzny kodeks moralny przestępców, na którego ślad jeszcze w tej opowieści napotkamy. Ale nie ma co przesadzać, imperatywy etyczne środowiska natychmiast pękają, gdy tylko znajdą się w kolizji z interesem własnym jednostki; mniej więcej tak samo jak i w normalnym społeczeństwie. Ten proces też będziemy tu mogli zaobserwować.

Przestępcy padli ofiarą „kapusia". Ale i im czynne „kapowanie" rychło nie będzie obce.

ZA TYDZIEŃ CIĄG DALSZY:

Rewizja w melinie u Kaczmarka. — Torebka w domu Jasińskiego. — Jędrzejczak „szuka roboty". — Jak obrabiano „Centrogal" — Włamywacka kariera eksportera Banaszczyka.

JANUSZ KRZYSZTOF

Bezrobotne z cenzusem

Będzie tutaj mowa o sprawach tak zwanej „płci". Tylko — proszę — bez porozumiewawczych uśmieszków! Nie mam bowiem na myśli „tych rzeczy". Problem jest bardzo poważny i bynajmniej nie nadaje się „do poduszki". No, bo posłuchajcie...

Z początku wszystko wygląda bardzo pięknie. Niemal jak zakończenie socrealistycznej powieści. Wieloletni wysiłek, ślęczenie nad skryptami i podręcznikami uwieńczone zostaje ostatnim egzaminem, jakimś szałowym balem, pożegnalnym „gaudeamusem", i — nadziejami na świetlaną przyszłość.

A potem przychodzi dzień powszedni. Balowe złudzenia pryskają jak mydlane bańki, a zaczyna się kacenjamer i... wędrówka. Wędrówka od jednego do drugiego dyrektorskiego gabinetu.

Wiadomo — przydziały pracy dla absolwentów zostały de facto — jako relikt — zniesione i każdy żądny zatrudnienia, a wyposażony w dyplomowy papierek młody człowiek musi się starać o pracę na własną rękę.

Jeżeli jest to mężczyzna — nie ma większej biedy. Z pewnością znajdzie coś odpowiedniego dla siebie. Natomiast gorzej, gdy jest tzw. „płcią odmienną", czyli mówiąc po prostu — KOBIETĄ. O, w takim przypadku sprawa nabiera zupełnie innego wyrazu, oględnie mówiąc — nieco się komplikuje...

Jej tłem jest zwykle pokój jakiejś „wysokiej osoby". Niemymi świadkami — dyrektorskie biurko, takiż dywan oraz nierzadko tradycyjne rybki w zielonym akwarium. Rozpoczyna się dialog:

— Pani w sprawie pracy?

— Właśnie, podobno potrzebujecie... Wakuje etat energetyka...

I tu najczęściej okazuje się, że nie dalej jak przed godziną ów wolny etat został... niestety zajęty.

Czasami zdarzy się ktoś szczery, coś tam mruknie pod nosem i poprowadzi konwersację dalej. Wygląda to na ogół tak,

— Praca, wolny etat... to, że tak powiem, tego... hm, hm...

— Mam ukończone studia, trochę praktyki...

— Noo...

— Mieszkania nie potrzebuję!

— Tak, ale widzicie — u nas to trzeba i pod maszynę zajrzeć, ustawić to i owo, dźwignąć coś cięższego, naprawić, a Wy przecież KOBIETA!

— Umiem sporo, dam sobie radę!

— Zgoda, zgoda, ale... jesteście — powtarzam — kobietą! A u nas zawsze inżynierem był i... będzie — mężczyzna! Ot, co...

Zmienia się scenaria, gabinety „wysoko postawionych osób", zmieniają się reprezentacyjne dywaniki

(Dokończenie na str. 11)

KALENDARZYK TYGODNIA

8 lutego

Jana, Piotra. Dalszy ciąg zimy śródziemnomorskiej.

Są ludzie, którym jedzie z ust jak z Rygi a myślą że — jak z Nicei; którzy pachną jak skunksy a wydaje się im, że — jak bukiecik fiołków.

A OTO MYŚLI RODZINY ĆWIEJÓW:

AMBROŻY ĆWIEJ:

Koń się śmieje a o krowie nikt nie słyszał, żeby się śmiała.

KLARA ĆWIEJ:

Zdrowe gruczoły i świeża cera to skarby, których nie znajduje się na ulicy.

ONUFRY ĆWIEJ:

Ja zawsze myślałem to, co się powinno teraz myśleć.

IZYDOR ĆWIEJ:

Nie bądź chodzącą stołówką dla pluskiew.

KĄCIK DLA ABSTYNENTÓW

Nasz ostatni król, Stanisław August Poniatowski, o czym Jan Weronicz donosi w liście wielkiemu kanclerzowi litewskiemu Radziwiłłowi, też zalewał robaka niewąsko: podchmielony udaje się pod pewną kamienicę, dobija się do drzwi, a gdy go do kamienicy wpuszczono, wyciąga z łóżka damę w samej koszuli, tańczy z nią, potem wałęsa się po mieście w wiadomym stanie, wybija kamieniami szyby... Według książki prof. dr A. Dryjskiego „Mózg i dusza" uczony niemiecki Kraepelin i jego uczniowie stwierdzili, że alkohol nawet w małych dawkach osłabia pamięć i uwagę. Wpływ dużego kufla piwa daje się jeszcze stwierdzić na drugi dzień wieczorem. Małe piwo oczywiście wywiera o wiele słabszy skutek.

Szkoła Kraepelina przeprowadzała badania alkoholometryczne, trwające cały miesiąc. Wynik eksperymentów był nader pouczający. Obiekty badań traktowano dawkami od 40 do 100 gr. czystego alkoholu. Wydajność umysłowa zrazu wzrastała, lecz już po szóstym dniu „periodu alkoholowego" zaczęła spadać. Dalszy ciąg w następnym numerze.

„LUNAPARK"
redaguje
ZYGMUNT FIJAS

odgłosy str. 9

Mały informator o budownictwie indywidualnym

KRÓTKI PRZEWODNIK

dokończenie

A jak wyglądają spłaty kredytu? Dla przykładu — członek spółdzielni typu lokatorskiego, zajmujący 2 pokoje z kuchnią — płaci miesięcznie ok. 400 zł. Suma ta obejmuje spłatę kredytu plus przeciętne świadczenia.

Tu musimy zwrócić uwagę na jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę. Łódzka spółdzielczość mieszkaniowa przyjęła

— 30 —

jako zasadę, że spłata miesięcznej raty kredytu wraz ze świadczeniami nie może przekraczać 15 procent miesięcznego budżetu rodziny. Chodzi o to, by w przyszłości koszty spłat i świadczeń nie obciążały zbytnio tego budżetu. A więc — na mieszkanie spółdzielcze mogą sobie pozwolić jedynie ludzie, mający zapewnione stosunkowo wysokie dochody.

Pamiętać jednak trzeba, że przy terminowej spłacie rat stosowane są ulgi. I tak przy terminowej spłacie $^2/_3$ raty — bank umarza pozostałą $^1/_3$ raty. Ponadto umarza się przy

— 31 —

terminowych spłatach 2,5 procent kredytu rocznie. Jeśli więc np. członek spółdzielni lokatorskiej spłaci w ciągu 24 lat 60 procent zadłużenia — pozostałe 40 procent zostaje umorzone.

Kredyty dla członków spółdzielni lokatorskich są nie oprocentowane.

CZY MOŻE BYĆ TANIEJ?

Dla każdego jest chyba teraz jasne, że uzyskanie mieszkania spółdzielczego nie jest przedsięwzięciem łatwym, wymaga sporego wysiłku finansowego, wielu wyrzeczeń. Z drugiej strony procento-

— 32 —

wa wysokość pierwszego wkładu jest właściwie niska, bo już 5% kosztów budowy mieszkania może wystarczyć...

Czy mimo wszystko nie dałoby się obniżyć kosztów mieszkania spółdzielczego inną drogą — przez potanienie budowy? Na pewno tak. W tym „krótkim przewodniku" nie miejsce jednak na tak szczegółowe rozwiązania — zainteresowanych odsyłamy do następnych publikacji naszego cyklu.

CO ROBIĆ?

Przeczytaliście szczegółowo ten informator. Obliczyliście

— 33 —

dokładnie swoje możliwości finansowe, możliwości pożyczki, sprzedania czegoś itp.

Co teraz robić — biec od razu pod jeden z podanych w tym przewodniku adresów, szybko, żeby was kto nie uprzedził?

Odradzamy pośpiech. W większości spółdzielni na pewno wyleją wam na głowę kubeł zimnej wody. Powiedzą wam mniej więcej tak: Przykro nam, ale na rok bieżący i przyszły listy kandydatów na mieszkanie spółdzielcze są już wypełnione...

— 34 —

A więc znowu zawód? Więc nie ma szans na uzyskanie mieszkania w wyraźnie określonym terminie?

TAKIE SZANSE JEDNAK ISTNIEJĄ. ISTNIEJE INSTYTUCJA, KTÓRA CHĘTNIE PRZYJMIE WASZE ZGŁOSZENIE I ZAPEWNI TERMIN OTRZYMANIA LOKALU! TĄ INSTYTUCJĄ JEST POWSZECHNA KASA OSZCZĘDNOŚCI.

Ale o tym — szczegółowo — innym razem.

Spółdzielczość mieszkaniowa, omówiona dokładnie w naszym „Krótkim przewodniku" — nie jest oczywiście **jedyną możliwością** zapewnienia sobie mieszkania przy pomocy wkładu własnych środków materialnych. Istnieją przecież ludzie, którzy mając działkę, ciułany przez kilka lat zapas materiałów budowlanych — chcą **budować sami.**

Czy ta inicjatywa może liczyć na jakieś poparcie, czy budujący „własnym przemysłem" mogą oczekiwać czyjejś pomocy — technicznej, prawnej, materialnej? Na to właśnie pytanie chcemy odpowiedzieć w tym informatorze.

GDZIE BUDUJEMY?

Na wstępie trzeba sprostować pewien błędny pogląd, który często jeszcze prowadzi do nieporozumień między władzami miejskimi i amatorami domków jednorodzinnych. Ten pogląd dotyczy tzw. problemów lokalizacji. A więc wyjaśniamy od razu — **posiadanie działki pod budowę domku nie jest równoznaczne z uzyskaniem zezwolenia na budowę.**

Skąd wynikło to ograniczenie? Rzecz prosta, budowa domków jednorodzinnych musi być zgodna z ogólnymi założeniami architektury i urbanistyki. Po prostu nie można dopuścić, by np. w już i tak zagęszczonej dzielnicy zajmowano tereny pod budowę małych jednostek mieszkalnych.

Naturalnie nie oznacza to, że w obrębie miasta wyeliminowano zupełnie budowę małych domów. Ten rodzaj budownictwa ma wyznaczone specjalne tereny.

Takich terenów pod budowę domków wyznaczono w Łodzi sporo: na Radogoszczu przy ul. Pojezierskiej, w dzielnicy Polesie przy ul. Namiątowej i Kozietulskiego, na Chojnach przy ul. Racławickiej. Ponadto jeszcze w bieżącym roku, przekazana będzie do dyspozycji przyszłych użytkowników lokalizacja w dzielnicy Staromiejska, tzw. „Osiedle Rogi" — między ulicami Strykowską a Wycieczkową. Jest to wyjątkowo ładny teren, zadrzewiony, w pobliżu lasu. Wyznaczonych tam zostanie aż 800 działek, z czego w pierwszym etapie — 456. Cały plac budowy zostanie przez miasto uzbrojony — to znaczy zbudowane będą ulice, doprowadzona woda i światło.

JAK ZAŁATWIĆ „LOKALIZACJĘ"?

Kto nie uzyska zezwolenia na budowanie domku na własnej działce — może otrzymać bez trudu działkę **zastępczą**, na terenach przeznaczonych przez urbanistów pod niską zabudowę. Obowiązuje jednak pewien warunek: na działce zastępczej należy rozpocząć budowę w ciągu najwyżej pół roku, a ukończyć — w ciągu najwyżej dwóch lat.

Istnieje jeszcze jedna możliwość — dla tych, którzy w ogóle nie posiadają własnych placów. Dzielnicowe Rady Narodowe **sprzedają** działki pod budowę domków jednorodzinnych. Koszt terenu uzależniony jest od kilku czynników, m. in. od kosztów budowy domku na tej działce, jej uzbrojenia, dzielnicy itp. W przybliżeniu cena 1 m kwadratowego tych działek wynosi w Łodzi — 30 zł.

ILE KOSZTUJE BUDOWA DOMKU?

Oczywiście, można tu operować wyłącznie danymi przeciętnymi. Kosztorysy **typowych** domków jednorodzinnych opiewają na sumy od 100 do 240 tysięcy złotych, zależnie od wielkości domku, użytych materiałów budowlanych, wyposażenia etc. W budowanych w ubiegłym roku w Łodzi domkach jednorodzinnych koszt 1 m kw. powierzchni użytkowej wynosił ok. 2.400 złotych.

Przybliżone obliczenie nie jest więc trudne — mnożymy przeciętną cenę metra kwadratowego przez ilość metrów powierzchni użytkowej...

JAK UZYSKAĆ POŻYCZKĘ?

To, co powiedzieliśmy wyżej, nie oznacza, że budujący domki muszą dysponować **całą sumą** na pokrycie kosztów budowy. Mogą oni bowiem korzystać w szerokim zakresie z kredytów bankowych i pożyczek, udzielanych im przez państwo. Ubiegający się o te kredyty muszą spełnić jednak szereg warunków, z których podstawowym jest **posiadanie własnego wkładu pieniężnego.**

Wysokość tego wkładu, podobnie jak w przypadku spółdzielczości mieszkaniowej, zależy od **wielkości** projektowanego domku. I tak — dla domków o powierzchni do 50 m kw. — minimalna suma wkładów własnych wynosi 20 proc. kosztów całej budowy. Przy powierzchni 50—85 m kw. — 25 procent. 85—110 m — wkład własny nie może być niższy niż 30 procent kosztów budowy. Pozostałe 70—80 proc. kosztów może pokryć bank w formie długoterminowej pożyczki, z tym jednak, że maksymalna suma pożyczki nie przekroczy 120.000 zł.

Wkład własny — owe 20—30 proc. kosztów domku — winien być złożony na książeczce oszczędnościowej, a PKO wydaje starającym się o kredyt odpowiednie zaświadczenia.

Spłata kredytów bankowych odbywa się w myśl zasad, omówionych dokładnie w naszym „Przewodniku spółdzielczym".

I jeszcze jedna ważna informacja. Jeśli ktoś dysponuje już pewną ilością materiałów budowlanych na budowę domku, to ich wartość **może być zaliczona na poczet własnego wkładu**, po oszacowaniu tych materiałów przez specjalną komisję. Podobnie też — jeśli ktoś zaczął już budowę bez pomocy finansowej państwa — to wartość wykonanych robót może być także zaliczona na poczet wkładów.

JAK ZAŁATWIAĆ FORMALNOŚCI?

A oto najważniejsze informacje, jakie „kroki urzędowe" należy podjąć przed rozpoczęciem budowy domku:

1) W Wydziale Gospodarki Mieszkaniowej odpowiedniej Dzielnicowej Rady Narodowej **należy złożyć na specjalnym** formularzu wniosek o przydział terenu budowy, względnie też — o udzielenie pożyczki i przydział materiałów budowlanych.

2) Do wniosku należy dołączyć zaświadczenie z miejsca pracy, stwierdzające zawód, zajmowane stanowisko i **wysokość zarobków.** Składamy też podobne zaświadczenia z miejsca pracy członków rodziny.

3) Następny załącznik — to ewentualnie dowód własności działki, na której planuje się budowę, lub która zamierzamy wymienić na działkę zastępczą.

4) Dołączamy też projekt domu, wraz z zezwoleniem na budowę, wydanym przez Wydział Architektury Rady Narodowej m. Łodzi.

5) I wreszcie — jeśli ktoś chce budować domek o powierzchni większej, niż 110 m kw., lub planuje dodatkowe pomieszczenia na warsztat pracy — musi mieć stwierdzenie zgody właściwej Dzielnicowej Rady.

PROJEKTY TYPOWE

Na wstępie niniejszego informatora omówiliśmy już jeden z bardziej kłopotliwych, często źle rozumianych problemów — lokalizację. Istnieje jeszcze jedna sprawa, która wywołuje też sporo nieporozumień: projekty i dokumentacje budowlane.

Zdarza się niestety często, że przedstawione w Wydziale Architektury projekty i dokumentacje nie zyskują aprobaty. Przeważnie chodzi o to, że projekty te posiadają grube błędy techniczne, czasem też — ich forma architektoniczna kłóci się z planami zabudowy przyszłego osiedla.

Tych wszystkich kłopotów można uniknąć w nader prosty sposób — przedstawiając do akceptacji **projekty typowe.** A więc takie, które zostały już zatwierdzone pod względem technicznym i architektonicznym.

Dotychczas zostało opracowanych 77 dokumentacji typowych domków. W tej liczbie 39 projektów dotyczy domków wolnostojących, a pozostałe 38 — bliźniaczych i szeregowych. Dokumentację typową można nabywać w Łodzi w Wojewódzkim Biurze Projektów — ul. Traugutta 14 w cenie od 250 do 300 złotych za egzemplarz. Katalog domów typowych dostępny jest w Wydziale Gospodarki Mieszkaniowej, ul. Piotrkowska 104.

MATERIAŁY BUDOWLANE

Mimo znacznej poprawy w zaopatrzeniu, pewna część materiałów budowlanych jest reglamentowana. Aby uzyskać przydział np. cegły, cementu, wapna, drewna, przewodów instalacyjnych, elektrycznych i wodno-kanalizacyjnych, oraz żelaza zbrojeniowego — należy wnieść odpowiednie podanie do Dzielnicowej Rady Narodowej. Materiały te przydzielane są w ilościach ograniczonych.

Natomiast bez ograniczeń można nabywać materiały prefabrykowane, a więc cegły żużlobetonowe różnych rozmiarów (M2, M4, M56) oraz belki zastępujące dźwigary.

Bez ograniczeń sprzedają też swoje wyroby Zakłady „Dolina Nidy" w Gackach, woj. kieleckie. Zakłady te produkują całe domki z prefabrykatów gipsowych. Podobnie też — domki z prefabrykatów trzcinowych dostarczają Zakłady w Mikołajkach, woj. olsztyńskie. Obie wspomniane tu wytwórnie podejmują się też montażu prefabrykowanych domków na placu budowy.

Oba rodzaje prefabrykowanych domków są tańsze i łatwiejsze w budowie niż budynki z materiałów tradycyjnych.

* * *

TYLE O DOMKACH JEDNORODZINNYCH. ALE NA TYM NIE ZAMIERZAMY ZAKOŃCZYĆ AKCJI INFORMOWANIA UCZESTNIKÓW NASZEGO KONKURSU „WSZYSTKO O MIESZKANIACH". W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „ODGŁOSÓW" ZNAJDZIECIE JESZCZE DOKŁADNE INFORMACJE O PROBLEMIE OSZCZĘDZANIA NA MIESZKANIE, KSIĄŻECZKACH DOCELOWYCH, KSIĄŻECZKACH „Z UMOWĄ".

PONADTO JESZCZE — OTWIERAMY „SKRZYNKĘ ODPOWIEDZI". BĘDZIEMY W NIEJ ODPOWIADAĆ NA KAŻDE PYTANIE, DOTYCZĄCE BLIŻSZYCH SZCZEGÓŁÓW DZIAŁALNOŚCI SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWYCH, MOŻLIWOŚCI BUDOWY DOMKÓW — I TEMU PODOBNE.

CZEKAMY NA WASZE LISTY I PYTANIA. NA KOPERCIE PROSIMY ZAZNACZYĆ WYRAŹNIE: „PYTANIE MIESZKANIOWE".

KUPON NR 7

Kontynuujemy pytania „sprawdzające". W jednym z ostatnich numerów omówiliśmy perspektywę budownictwa mieszkaniowego na tle generalnego planu rozwoju urbanistycznego Łodzi.

Prosimy, opierając się o założenia liczbowe, podane w przypomnianej publikacji, odpowiedzieć na pytania:

1) Ile nowych izb trzeba by wznieść do roku 1975, ażeby zaspokoić łódzki „głód mieszkaniowy".

Tu wpisać założoną liczbę

2) Ile izb powinno przybyć Łodzi w najbliższym planie etapowym, tzn. w latach 1960—1965.

Tu wpisać założoną liczbę

Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka". O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, al. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 1 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy". S 3
Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 249 17. 59.

Miłość nie jedno ma imię...

Powieść Pierre la Mure „Miłość nie jedno ma imię" jest książką czytywaną, poszukiwaną, sprzedawaną spod lady. Nie tylko ona zresztą. Obie wydane u nas ostatnio biograficzne powieści la Mure'a stały się nieomal największymi bestsellerami sezonu.

Czy to źle? Z jednej strony właściwie dobrze. Książka się rozchodzi, a przy tym ludzie poznają życie Tolouse-Lautreca („Moulin Rouge") i Feliksa Mendelssohna. Jednak do obowiązków recenzenta należy, wydaje mi się, kształtowanie gustów czytelnika. I troska o to, by ów czytelnik książki przyjemnej w czytaniu, dającej rozrywkę, ale należącej do tzw. „literatury B", nie pasował do rangi arcydzieła. A proszę mi wierzyć, że „Miłość nie jedno ma imię" (książka o Tolouse-Lautrecu została wydana dużo wcześniej) jest pozycją słabiutką, nudnawą, rozwlekłą i zupełnie nie zasługuje na

DOM KSIĄŻKI

powszechny zachwyt. Rzecz prosta, popularność książki płynie również i z tego, że wszelkiego rodzaju biografie, „Vie romancée" osnute na życiu wielkich ludzi, cieszą się w naszym społeczeństwie ogromną poczytnością. Istnieje, powiedziałabym, głód autentyku literackiego a świadomość, że osoby występujące w powieści istniały rzeczywiście, że ich zasadnicze działania zostały opisane zgodnie z prawdą, że przytoczone rozmowy faktycznie mogły mieć miejsce — zapewnia biografiom popularność.

Trzeba powiedzieć, że wśród romansów, powieści popularnych, osnutych na tle co bardziej burzliwego życia malarza, czy poety, spotykamy pozycje świetnie napisane. Powieści tych jest mnóstwo — wspomnę więc tylko przykładowo o „Pasji życia" Stone'a — doskonale napisanej biografii Van Gogha — o „Potępieniu Paganiniego" i „Trzech barwach czasu" Winogradowa.

Podstawową wadą książki la Mure'a jest to, że nie dowiadujemy się z niej właściwie niczego o Feliksie Mendelssohnie. Tak, wiemy jakie odbył podróże, z kim się ożenił i jakie miewał kochanki, poznajemy jego matkę, ojca, siostrę, przyjaciela. I to wszystko. Sądzę, że powieść o artyście, nie mówiąca zupełnie nic o jego dziele — jest chybiona. Powieść, w której na plan pierwszy wysuwają się przygody miłosne twórcy koncertów fortepianowych i skrzypcowych, w której ważniejsze są imiona kochanek od spraw twórczości.

ALINA GRABOWSKA

Mieszaniny

POD REDAKCJĄ JANA HUSZCZY

KALIKST ŁASICZKA

MARZENIE PIERWSZE

I ja bym siedział nad strumyczkiem
w upalne nasze, wiejskie lipce,
po dźwięcznych strunach rypał
smyczkiem.
lecz ktoś mi ukradł, psiakrew, skrzypce!

MARZENIE DRUGIE

Gdybym miał chociaż krzywe nogi,
to zostałbym kawalerzystą,
i dzwonił w dźwięczne, ach, ostrogi
i gardło zwilżał — ach, ach — czystą!

CO Z OBRAZAMI?

Niektórzy chowają obrazy, jak to się potocznie mówi, do kieszeni. Jest to sprawa poczucia godności... Ale my w tej chwili mamy na myśli obrazy naszych licznych plastyków łódzkich. Niektórzy z nich pracują intensywnie i wydajnie, zwiększając swój dorobek w postaci obrazów olejnych, akwarel, satyrycznych szkiców, akwafort, drzeworytów, linorytów, monotypii... itd.

Co się dzieje z tym dorobkiem? Po wystawach wędruje przeważnie z powrotem do mieszkań i do pracowni ich twórców.

Rosną swoiste remanenty i nie ma żadnej nadziei na ich upłynnienie czyli rozprowadzenie wśród społeczeństwa naszego miasta.

Obraz, rzecz jasna, kosztuje. Należy szukać takich form zbytu, przy których plastyk odniósłby pewną korzyść materialną, a jednocześnie nabywcą mógłby zostać nawet człowiek skromnie zarabiający, którego nie stać na kupno w „Desie".

Wystawy w parku Sienkiewicza i w spółdzielni przy Piotrkowskiej cieszą się nieomal już z reguły dużym zainteresowaniem. Nawet obraz nie zwracający na siebie uwagi wybrednej krytyki, ale spełniający minimum artystyczne, nawet taki obraz— zawieszony na ścianie w mieszkaniu robotnika, rzemieślnika czy inteligenta pracującego — sprzyjałby sprawie wyrabiania gustów estetycznych.

Niejeden z nas chciałby mieć u siebie monotypie Sadowskiego czy Poulaina; „rozwichrzone", nie zawsze konsekwentne, ale reprezentujące temperament i nieleniwą wyobraźnię obrazy Kondka; obrazy Krawczyka; frapujące płótna Nowosielskiego; rzetelnie wypracowane kompozycje Pisarka czy satyryczne rysunki Baranieckiego...

Pomijam mnóstwo innych nazwisk, gdyż nie chodzi tu o ich wyliczanie.

Przed paru laty powstał wśród plastyków wcale dorzeczny projekt, żeby urządzić wielką loterię, której bilety kosztowałyby złotówki, a w której wygrywałoby się dzieła naszych plastyków. Projekt ów nie doszedł do skutku m. in. ze względu na sztywne stanowisko władz finansowych, które tę loterię gotowe były obłożyć podatkiem, niweczącym ideę imprezy.

Nasze różne władze nieraz cechuje obojętność lub niechęć do poczynań kulturalnych, czasem nawet ponura złośliwość (jak w wypadku nagrody literackiej). Może jednak tym razem — na nowej fali troski o upowszechnienie kultury — zmieniłyby swój pogląd na sprawę?

A może by nasze pisma zrobiły skromny początek i podjęły starą polską tradycję subskrypcji na grafikę?

Raz można spróbować, do jasnej Anielki! Ryzyko żadne, więc czyż warto z góry przewidywać niepowodzenie? Tym bardziej iż udaje się to wszystko w Warszawie i Krakowie...

„MIESZANINY" o „CHATCE PUCHATKÓW"

Sądząc z ilości miejsca, jakie nasza prasa temu incydentowi poświęciła, było to jedno z najdonioślejszych wydarzeń, podobnie jak przed wieloma miesiącami powieści ob. Franciszki Sagan!

„Mieszaniny" nie zabiorą w tej sprawie głosu, gdyż ciągle jeszcze dysponują znikomym obszarem szpalt gazetowych. Poza tym — chcą się w ten sposób wyróżnić spośród innych polskich organów prasowych!

PIOTR GOSZCZYŃSKI

ACH, TY WYDRO!

— Mój dzieciak paninego uderzył! Mój, mój? Żebyś pani taka zdrowa była, żeby pani się te sztuczne zęby zdrowo nosili. Mój dzieciak tego potrąconego jamnika uderzył? Moje dziecko nie tak wychowane, jego matka z japońskimi sołdatami na flankiery nie chodziła...

— Coś ty wydro powiedziała, kto z japońskimi sołdatami na flankiery chodził? Kto? Ja, ja?

Obywatelka posądzona o uczęszczanie na randki w zamierzchłych czasach z japońskimi żołnierzami, nie wytrzymała — złapała swoją rozmówczynię za tzw. kok i parę razy „dołożyła po karku".

* * *

Z punktu widzenia prawa obie strony są winne — obywatelka pomawiająca swą sąsiadkę o spacery z żołnierzami być może nawet zniesławiła ją i jeśli strona przeciwna potrafi dowieść iż słowa wypowiedziane stanowią zniesławienie odpowiadać będzie z artykułu 55 KK, być może sąd dopatrzy się winy z innego artykułu, a mianowicie 56 mówiącego o obrazie. Ale już na pewno odpowie przed sądem krewka obywatelka, która nazwawszy swą przeciwniczkę wydrą „dopuściła się rękoczynu". Tym rękoczynem „naruszyła artykuł" 39 — mówiący o nietykalności, następnie odpowiadać będzie z art. 37 za lekkie uszkodzenie ciała.

* * *

Krewkie niewiasty przez parę minut „kotłowały" się na korytarzu, po czym wszystko ucichło, nawet milicja nie interweniowała. Czy rzeczywiście wszystko ucichło? Nie, moi drodzy, to dopiero początek, gdyż co jak co, ale pieniactwo polskiej „matronie" od wieków nie jest obce. To pieniactwo nie od razu kończy się procesem. Następuje seria „spotkań" — coś w rodzaju meczów na których „panie" chcą każda ze swej strony zademonstrować przewagę. Zaczynają się więc zarzuty typu — „po kądzieli", a więc słowa, które „poruszają" nieboszczkę mamusię jednej czy drugiej z pań. Następnie następuje długa litania innych zarzutów, z „pomówieniem koronnym".

— Ty stara k..... złodziejko, kradniesz! O tym wie cała kamienica.

— Ja kradnę, ja?!!

I oto można być z góry pewnym, że osoba posądzona o złodziejstwo tego nie daruje. Za kilka tygodni „cała kamienica" zjawi się przed sądem w charakterze świadków.

Do porozumienia stron z reguły nie dochodzi. Przed sądem toczy się sprawa, sprawa z serii tak zwanych „pyskówek". Sprawa sprawie nie równa. W „pyskówce" może być jeden lub kilku oskarżonych, jeden lub nawet kilkudziesięciu świadków, dwu albo 20 adwokatów, a każdy z panów obrońców ma błogą nadzieję, że właśnie jego klient sprawę wygra.

* * *

Przewodniczący jednego z Wydziałów Karnych Sądu Powiatowego dla m. Łodzi powiedział mi, że tego typu spraw jest już mniej. Datuje się to od chwili „podwyżki" zaliczki, którą musi wpłacić prywatny oskarżyciel, wnosząc sprawę do sądu. Niegdyś zaliczka wynosiła 50 zł, dziś 200.

Czy to pomogło? Chyba niewiele jeśli IX Wydział Karny Łódź—Śródmieście za czas od stycznia do sierpnia zanotował 330 tego rodzaju spraw. Czy to sekret? A skądże! Wydział Karny Polesie — Bałuty „cieszy" się większą frekwencją i jest niezaprzeczonym rekordzistą — 5.000 spraw w roku, na drugim miejscu uplasował się Wydział Karny Śródmiejska — Widzew z 3.000 spraw, następnie „kroczy" Ruda—Chojny, a dopiero na „szarym końcu" Śródmieście.

* * *

Ale wróćmy do sprawy — obie strony nie wyraziły chęci pogodzenia się — rozprawa trwa. Sędzia usiłuje dojść sedna rzeczy, powtarza w nieskończoność — a więc niech świadek powtórzy słowa, które wypowiedziała oskarżona. Świadek powtarza, ale już następny mówi zgoła co innego. Wiadomo, świadkowie to sąsiedzi. Jedni żyją dobrze z tą stroną, inni z tamtą. Często przechodzą do „wrogiego" obozu nie bacząc na fałszywe zeznania — ćwiartka z niebieską kartką odgrywa w tych sprawach wcale niepoślednią rolę.

Sędzia poci się, sędzia z chęcią i jednym i drugim „zaaplikowałby" przyzwoitą „odsiadkę" by im na przyszłość odeszła całkiem chęć do procesów, ale sąd jest sądem i musi sprawę rozpatrzyć obiektywnie. Sędzia jest także człowiekiem któremu wnętrzności się skręcają, gdy widzi jak „pyskówka" zabiera czas i sądowi i plejadzie świadków.

* * *

Zapadł wyrok. Zawsze jedna ze stron z wyroku będzie niezadowolona — człowiek jest ułomny — „i jeszcze się sędzia nie urodził, co by każdemu dogodził". — Niezadowolona strona wnosi odwołanie — apeluje. Czasem odwołanie wnoszą obie strony. Ciągnie się więc „pyskówka" przez kilka instancji. Jaki z tych spraw pożytek? W miarę trwania procesu zapleka się złość w sercach i umysłach: — Z torbami na dziady pójdę, a tę wydrę do więzienia zaprowadzę — niech zgnije.

* * *

Łódź — miasto 700 tysięcy mieszkańców, ma takich spraw w ciągu roku około 10 tysięcy. Gdyby wziąć wszystkich mieszkańców pod uwagę, a przecież noworodki nie mają zwyczaju wytaczania procesów, to co 7 mieszkaniec naszego miasta albo nazwał kogoś k...ą albo złodziejem, albo też sam tak został nazwany i dochodzi plamy na honorze w drodze sądowej.

Statystyka raczej smutna, zwłaszcza gdy się ją nieco rozszerzy—10 tysięcy spraw, czyli co najmniej 20 tysięcy osób zainteresowanych, w każdej sprawie przynajmniej dwóch świadków — 40 tysięcy świadków + 20 tysięcy osób reprezentujących strony — 60 tysięcy osób. Gdyby proces trwał tylko jeden dzień, tracimy 60 tysięcy dni roboczych, nie licząc czasu sędziego. A czas protokolanta? Sędzia w ciszy pokoju sędziowskiego klnie na czym świat stoi, sekunduje mu wiernie protokolant — jedynie obrońca milczy.

* * *

Czas skończyć z tymi historiami, czas chyba najwyższy powołać Sądy Polubowne, czas chyba także po raz drugi podwyższyć taryfę zaliczki — 500 złotych to już będzie suma nad którą ludzie się zastanowią. Wydać? Nie wydać?

P. S. Ja, gdy się na kogoś zdenerwuję, nie podaję w wątpliwość moralnego oblicza jego mamy. — Mówię mu —„ach ty gambeto"! — i człowiek nie wie: obrazić się, czy nie?"

DANILO AQUISTI

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA

Humor włoski niełatwo ulega nowinkom, przeważnie trzyma się raczej tradycyjnych form i tematów. Tak też Włosi dość rzadko rysują dowcipy bez podpisu, komicznych spięć szukają częściej w charakterach ludzkich niż w niedorzecznych sytuacjach.

Wyraźnie odcina się od tych tendencji młody rysownik Danilo Aquisti. Na pierwszy rzut oka dowcipy Danila przypominają trochę żarty świetnego humorysty amerykańskiego, Virgila Partcha. Decyduje tu pewne podobieństwo rysunku (podobne sylwetki ludzkie), a przede wszystkim analogiczne zamiłowanie do tematów karkołomnych, z „dreszczykiem". Znów więc mamy „partchowski" arsenał rekwizytów i zdarzeń: łuki, rewolwery, rwanie zębów, kraksy samochodowe etc.

Daleko wszakże Włochowi do makabry tamtego rysownika. Aquisti jest pogodniejszy, bo nigdy nie wyciąga ostatecznych konsekwencji sytuacyjnych: kierowca wychodzi z katastrofy bez szwanku, łuk nie strzela. Partch pokazałby prawdopodobnie szofera w kawałkach głowę chłopca przeszytą strzałami...

Rzeczą godną zanotowania jest fakt, że właśnie Aquisti zrobił wyłom w dość sztywnej praktyce radzieckiego „Krokodyla", który z zasady drukuje wyłącznie rysunki satyryczne. Latem 1957 r. Danilo gościł w ZSRR i zamieścił w „Krokodylu" kilka żartów, które nic wspólnego z satyrą nie miały. Poza tym były to przeważnie rysunki bez podpisu, forma nieczęsto spotykana w radzieckiej karykaturze.

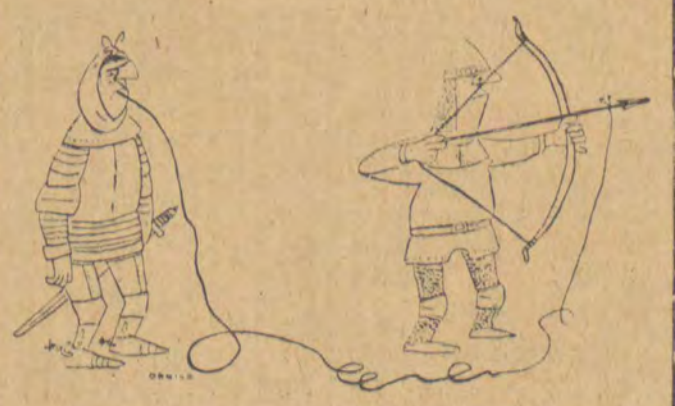

Danilo Aquisti jest stałym współpracownikiem świetnie redagowanego magazynu „Vie Nuove" — organu Włoskiej Partii Komunistycznej".

J-ert.

BEZROBOTNE Z CENZUSEM

(Dokończenie ze str. 9)

oraz akwaria z rybkami. Odpowiedź pozostaje ta sama: „Etat zajęty", co w praktyce oznacza: — „Nie, kobiety — nie przyjmiemy!"

Być może, ktoś z Was pomyśli, że przytoczony powyżej „obrazek" jest wyłączną fantazją autora, że wyssano go z palca. Otóż nie. Oparłem go na autentycznych perypetiach dwóch młodych łodzianek — Alojzy Pisarskiej oraz Ireny Stachowowicz, z których jedna jest absolwentką Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej, a druga — ukończyła niedawno Technikum Energetyczne.

Obie — choć zjawisko nie jest może masowe — bynajmniej nie stanowią wyjątków — przez długi okres czasu bezskutecznie „dobijały się" o jakąś posadę zgodną z ich fachową wiedzą i wykształceniem.

„Mój dzień — jak pisze w swoim liście p. A. Pisarska — zaczynał się od przewertowania prasowych ogłoszeń, rozpoczynających się słowami „pracownicy poszukiwani". Owszem — znajdowało się w nich coś odpowiedniego i dla mnie. W Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Reymonta wakował np. etat technika cieplnego. Biuro Projektów przy ul. Kopcińskiego potrzebowało energetyka, w Łódzkiej Wykończalni..."

Wszędzie jednak odprawiano ją z kwitkiem. Albo już nie było wolnych miejsc, względnie — miał być przyjęty MĘŻCZYZNA. Z takim samym kwitkiem, jakim obdarowywano p. I. Stachowowicz, jakim do dziś bardzo często „legitymują się" inne bezrobotne z cenzusem.

Zaiste, dziwna to sprawa. W fabrykach włókienniczych ponad 70 proc. załóg stanowią kobiety. Łódzki przemysł oparty jest o ich pracę — niełatwą, wymagającą wiele trudu oraz zaradności pracę prządek, tkaczek i pomagaczek. Tam nie ma oporów. „Bawełna" i „wełna" chętnie przyjmują każdą ilość nowych robotnic. Trudności zaczynają się wtedy, gdy w biurze personalnym pojawi się kobieta z dyplomem, która może i powinna pełnić teraz lub w przyszłości odpowiedzialne funkcje majstra, technika, inżyniera. Dla niej — zakładowy „sezam" jest zamknięty, gdyż — zgodnie z wykoncypowaną gdzieś tam teoryjką — ONA nie da sobie rady. Więc dla niej — nie ma wolnych etatów, nie ma — mimo pozorów — możliwości społecznego awansu. Odprawiona z niczym powiększa grono bezrobotnych — z cenzusem.

Cena pracy idzie w górę — zgoda, przyklasnąć. Zwyżkuje również cena nauki — „100 lat niech nam żyje!" Ale dlaczego „tylko dla mężczyzn"? — Czy to zemsta mężczyzn za równouprawnienie?

EDWARD ETLER

OSTATNI STRZAŁ

„Ostatni strzał" jest filmem udanym. Ale niestety, określenie „film udany" uległo dewaluacji. „Udane" były dwie niedawne premiery. Premiera kiczu pt. „Żołnierz królowej Madagaskaru" i premiera kiczu pt. „Zamach". Pierwszy „udał" się, bo przypadł do gustu lwiej części kinomanów, a reżyser drugiego może uważać swe dzieło za udane po przeczytaniu życzliwych cenzurek których nie poszczędziła mu prasa. W takiej sytuacji zmniejsza się satysfakcja twórcza autora rzeczywiście udanego obrazu.

„Ostatni strzał" jest filmem udanym. Udanym dzięki kilku względom, które wymienić można w następującej kolejności:

1) Przede wszystkim scenariusz. Aleksander Ścibor-Rylski wymyślił historyjkę stosunkowo mało banalną i powiedzmy od razu — nadzwyczaj filmową. Filmową nie dla scenerii, w której się rzecz rozgrywa („Ostatni strzał" mógł się toczyć wszędzie), ale filmową dzięki zwartości fabuły i zwięzłemu zaplanowaniu akcji. Gaduła potrafiłby uczynić „Ostatni

strzał" filmem nieznośnym. Oszczędność Ścibora-Rylskiego i owo charakterystyczne dlań (tym razem) umiłowanie skrótu — przesądziły o powodzeniu przedsięwzięcia.

2) Potem realizacja. Tutaj wymienić trzeba zarówno reżyserię w najbardziej potocznym rozumieniu tego słowa, jako też jej nieodłączny czynnik — DOBÓR AKTORÓW. Cała obsada „Ostatniego strzału" zasługuje na wysoką notę sprawozdawcy. Sprawa jest o tyle istotna, że przy kiepskiej liście wykonawców postacie Giżyckiego i Ziarny mogły wydać się pożyczonymi z operetki. Tymczasem Jasiukiewicz wcale nieźle radził sobie jako Ziarno, a Karewicz w roli Giżyckiego miejscami jest wręcz kapitalny. Obok wymienionych gra swą małą, na poły epizodyczną rólkę Stefan Bartik (knajpiarz) i staje się rzecz najmniej oczekiwana. Wystarczy kilka ujęć, aby twarz tego świetnego aktora na długo pozostała w pamięci widza. Ci trzej grają więc pierwsze skrzypce, choć Jasiukiewiczowi przyszło to z największym bodaj trudem. Rola byłego bandyty, który w życiu cywilnym potrafi jedynie wyplatać koszyki — to nie zadanie dla aktora o twarzy, hm, pianisty. Ale owa fizys Jasiukiewicza w sumie splatała nader miłego figla. Wyszedł Ziarno bardzo interesujący i trochę udziwniony, ale udziwniony w granicach dobrego smaku. Taki Ziarno przywodzi na myśl raczej filmy Reeda niż Hasa. Pozostali wykonawcy tworzą zespół na ogół wyrównany, i jak się zdaje tylko Urszula Modrzyńska napotkała pewne trudności. Nie jest to jednak winą sympatycznej aktorki — tylko scenariusza, który mimo innych walorów — nakreślił jednak mimochodem owe nieszczęsne sceny kuszenia, w których nawet Sophia Loren poczułaby się fatalnie.

3. Jeszcze jeden powód, dla którego „Ostatni strzał" jest filmem udanym — to zdjęcia Bogusława Lambacha. Zwraca uwagę ujmująca nonszalancja kadrów, zastosowana zamiast zawsze komicznej staranności. Ale na tę (pozorną) nonszalancję pozwolić sobie może jedynie doskonały operator. Lambach udowodnił, że stać go na to; obraz jest niewymuszony, komponowany pobieżnie, a niemniej coraz to urzeka walorami dobrej fotografii. Sądzę, że trudno było znaleźć dla „Ostatniego strzału" trafniejszą oprawę plastyczną.

Przy wszystkim co się rzekło, można było przeoczyć kwestię najbardziej istotną. Wymienione zalety „Ostatniego strzału" są właśnie zaletami dzięki ogólnej bezpretensjonalności tego filmu. „Ostatni strzał" to klasyczny przedstawiciel gatunku określanego precyzyjnie mianem filmu „drugiego rzutu". Ale jednocześnie znalazł „Ostatni strzał" moment kompromisu. Cechy filmu „drugiego rzutu" splatają się z dobrym gustem i pozorami motywacji psychologicznej. Te motywy, wywodzące się w prostej linii z łączki filmu o ambicjach artystycznych — coraz to rekompensują obecność tego czy innego uchybienia. Słowem obu warstwom tego filmu wzajemny kompromis na pewno wyszedł na dobre.

Ustalmy pewne zasady. Wartka, sensacyjna akcja, dobra obsada, efektowny montaż i dynamiczne zdjęcia — to chyba wszystko, co składa się na „twarz" typowego przedstawiciela gatunku „drugiego rzutu". Scenariusz może być przy tym tworem pełnym nonsensów i bredni, byleby tylko obfitował w spięcia dramatyczne, dawał twórcy (i aktorom) pretekst do popisu... Choćby „Dotknięcie zła" Orsona Wellesa, to właśnie najwdzięczniejszy przykład, że mimo oczywistych gaff scenarzysty — widz zafascynowany bywa r o b o t ą twórcy i wykonawców; (byleby tylko wszystko miało choć minimum sensu w tkance sensacyjnej rzeczy). Jest tylko jeden warunek: w takim filmie musi być wyraźnie zaakcentowany moment osobistego interesu bohatera.

Dlaczego właśnie „Dotknięcie zła"? Dlaczego akurat ów genialny Wellesowy kicz przypomniał mi się przy „Ostatnim strzale"? Oto i tutaj wplótł się problem nazywany nieodzownym. Sprawa niedopowiedzianego, osobistego interesu bohatera. To przemilczenie urzeka w filmie Rybkowskiego. Nienawiść? Czy sympatia? Co czuje Giżycki do Ziarny? I vice versa? Obaj są świadkami swojej byłej świetności. Tylko oni nawzajem potrafią się doceniać; obaj są sobie potrzebni. Jakież więc jest to uczucie? W każdym razie wyobcowuje ono bohaterów i jednocześnie nadaje filmowi zgoła inny (niż sensacyjny) charakter. Charakter opowieści psychologicznej: właśnie te pozory, bez których film „drugiego rzutu" jest niczym.

A więc tylko pozory! I dobrze się stało. Każdy dalszy krok w tym kierunku — zniweczyć mógł b e z p r e t e n s j o n a l n o ś ć „Ostatniego strzału", a więc spowodować nieuchronną w takich chwilach katastrofę, klęskę scenarzysty i reżysera.

Trudno wydumać, jaki los spotkałby „Ostatni strzał", gdyby scenariusz ten znalazł się był na warsztacie innego reżysera. Jan Rybkowski wniósł sporo z genre'u komedii, m. in. tę scenę w knajpie (Bartik — Jasiuklewicz) przed strzałem, scenę, która jest majstersztykiem. Dalej wyszła filmowi na dobre prostota, na dobre wyszła mu także scenaria mazurskich jezior. A że tego co dobre i złe niesposób przecież oddzielić, tedy i wniosek wydaje się oczywisty: Rybkowski wybrał koncepcję szczęśliwą.

A. J. PIOTROWSKI

2 nowe filmy

ZEMSTA KOSMOSU

Filmowców trapi nie lada zagadnienie. Czy zdążą nakręcić film o tajemnicy kosmosu, nim ta tajemnica będzie ostatecznie zbadana i opisana przez naukowców? Byle wiadomostka może obalić najbardziej wiarygodne (dotąd) dociekania Lema, i... nici wyjdą z filmowych „Astronautów". Nici — albo coś niby łódź podwodna Vernego w dobie obecnego stanu techniki. Roztropni autorzy „Zemsty kosmosu" wybrali metodę pomysłowego zabezpieczenia. Nakręcili film oparty na czystej jak łza fantazji... Taki film nie może się zdeaktualizować. O tym — na pewno nie ma mowy.

W miejsce sensacyjnego dreszczyku wstrząsa widzem autentyczny dreszcz przerażenia, no bo w końcu w takiej czy podobnej sytuacji możemy się rzeczywiście znaleźć. Akurat nauka szuka w tej chwili sposobu sprowadzenia wy- [illegible] rakiety z powrotem na naszą planetę. A twórcy filmu? Oni znajdują się już na następnym etapie: rakieta z pierwszymi kosmicznymi podróżnikami ląduje na ziemi. I ten sukces nauki omalże nie staje się przyczyną ziemskiego końca świata. Z trzech współpracowników wielkiego uczonego powraca tylko jeden. Tajemnicę zniknięcia jego współtowarzyszy odkrywają kamery filmowe, rejestrujące każdy ruch odbywający się wewnątrz rakiety. Pierwszy współczesny astronauta — nie jest już jednak normalnym człowiekiem. Włada nim straszliwa, obdarzona rozumem substancja kosmiczna.

Nowe monstrum ekranu — galaretowata plazma, łypiąca oczyma bańkowatych zarodników, walka naukowców z nieznanym wrogiem, niszczącym wszystko, co staje mu na drodze; panika ogarniająca ludzkość i przerażająca zagadka człowieka, który wrócił „stamtąd" wypełniają dwugodzinny seans. Twarze i ręce ludzi zabitych przez mieszkańców międzygwiezdnych szlaków są akurat na tyle makabryczne, aby wśród widzów „Zemsty kosmosu" nie znalazł się chętny do wyjazdu w owo najdalsze nieznane...

DIABELSKI WYNALAZEK

Reżyser Zeman potrafił zaskoczyć widzów całego świata nowym, kapitalnym pomysłem. Nakręcił film utrzymany od początku do końca w uroku starych sztychów. A że akurat wszystko co stare jest w modzie, i że właśnie nie ma nowocześniejszej rzeczy niż secesja, przeto i film Zemana trafił w wymarzoną dla siebie koniunkturę.

Jest to jednak adaptacja w jakimś sensie niepowtarzalna. Niepowtarzalna o tyle, że ów sposób Zemana zastosować można raz jeden i chyba już nigdy więcej. Oglądajcie więc film w paski. Film — tu naprawdę niepowtarzalne dzieło sztuki. Jeśli któryś obraz warto czy wręcz trzeba polecać przy pomocy drukowanego słowa, to obrazem takim jest przede wszystkim „Diabelski wynalazek".

Film w paski? Właśnie. Zeman, a raczej jego dekoratorzy wykonali iście benedyktyńską pracę. Dość powiedzieć, że malowali w poziome paski każdy po kolei fragment „grającej" dekoracji. Znakomity efekt dało także trickowe nałożenie pasków (metodą nakopiowania) na obraz falującego morza, chmur i w ogóle pejzażu. Ptaki Zemanowe, te najbardziej udziwnione stwory towarzyszące maszynom do latania i Zemanowe ryby — cuda, to jedynie fragmenty tego kapitalnego fresku, jaki przewija się przed nami na ekranie.

Jest także w filmie Zemana wyjątkowo błaha fabuła, właśnie ta zaczerpnięta z powieści Vernego. Fabuła ta, rzecz jasna, nie gra żadnej roli oprócz stwarzania pozorów; jest ona li tylko pretekstem — dzięki niej twórca ma okazję pokazać swe dziwadła. Ale fabuła ta — pod koniec obrazu, czyli w finale rzeczy — daje trochę do myślenia.

Niech sobie Czytelnicy pomyślą, że najęła mnie Centrala Wynajmu Filmów na naganiacza, niech mi to mają za złe; a jednak zachwalać będę obraz Zemana! Polecam ten przeuroczy film uwadze wszystkich, którzy lubią znajdować na ekranie rzeczy o niecodziennej pomysłowości i niepowtarzalnym uroku.

Białe myszki

Widzów, przybyłych na salę kinoteatru „Polonia" — pomysłowy kinomechanik wita początkiem reklamówki. Po ekranie chodzi znana nam ze sceny teatrów krakowskich Pani Horawianka i mówi coś, czego w żaden sposób nie można pojąć. Nie można! — bo film został puszczony za wcześnie i zgodnie z przyjętym zwyczajem publiczność zajmuje się właśnie odnajdywaniem miejsc, nawoływaniem, trzaskaniem krzesłami itp. I dopiero koniec małego filmiku można jako tako zrozumieć. A szkoda. Jest to bowiem bardzo zgrabny filmik reklamowy pt. „Książeczka mieszkaniowa PKO", wyprodukowany przez p. p. Wojciechowskiego, Rutowicza i Worontkiewicza z ramienia Studenckiego Punktu Usług Filmowych w Łodzi. (Przed paroma tygodniami pisaliśmy szerzej o pracy tej pożytecznej placówki, grupującej absolwentów PWSF).

Kinoteatr „Polonia" ma ambicje kina premierowego i co za tym idzie — kasa egzekwuje odpowiednie ceny biletów. Można się tedy dziwić sposobowi rozpowszechniania filmu. Poza tym warto napomknąć, iż nawet z najlepszego miejsca na sali (pierwszy rząd balkonu) słychać terkot projektora. Zupełnie jak w epoce B-ci Lumiere.

Powyższe dedykuje się Okręgowemu Zarządowi Kin z prośbą o pamięć i uwagę.

Specjalny Komitet Organizacyjny powiadomił Absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, iż 14 i 15 lutego odbędzie się ich zjazd (połączony z bankietem). Impreza zapowiada się nader interesująco. Można to wnosić po tym, iż prawo uczestniczenia ocenione zostało na skromne 250 zł od osoby, z tym, że drugie tyle płacą Absolwenci za swoje Żony.